

Lech M. Nijakowski, *Rozkosz zemsty. Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2013, 423 ss.

Jest to praca trudna do recenzji. Autor, przytaczając jakąś hipotezę, czy twierdzenie, najczęściej sam wskazuje na jego słabości, widzi też dodatkowe okoliczności sprawy, kłopoty definicyjne, wyjątki i niejasności. Trudno więc go „zahaczyć”. Druga trudność płynie z rozmiaru książki. Autor jest erudytą. Mnóstwo wie, zna z literatury i omawia ludobójstwa totalne, częściowe, domniemane itd. Zajmuje się wieloma wątkami oraz epizodami historycznymi. Prowadzi analizę interdyscyplinarną, a nawet więcej: dąży do przekraczania granic dyscyplin w imię zintegrowanych i historycznych nauk społecznych. Sam temat narzuca zresztą interdyscyplinarność, czego autor jest świadomy („Bez wątplenia masowy projekt ludobójstwa czy czystki etnicznej stanowi zjawisko totalne, dotyczące wszelkich sfer życia jednocześnie i mające ogromne znaczenie dla wszystkich członków wspólnoty. W tym sensie należy wykorzystywać bez wyjątku dorobek nauk społecznych ujmujących te dziedziny” [s. 25]).

Recenzent w oczywisty sposób nie może znać się ani na wszystkich wątkach, ani na wszystkich epizodach, nie może być też kompetentny w zakresie wszystkich dyscyplin. Z góry można założyć, że każdy wąski specjalista od wątku, epizodu, czy dyscypliny, znalazłby w pracy pewne słabości w zakresie lepiej mu znanym. Jednocześnie, nawet jeśli trudno zanegować, że słabości powinno być jak najmniej, to taka recenzja byłaby o tyle bezsensowna, że właśnie w sygnalizowanym bogactwie tkwi siła (wartość) książki. Takich publikacji, jak ta, jest wyjątkowo mało w polskiej humanistyce. Swego czasu zagadnienia migracji istotnie zbliżyły zwłaszcza historię i socjologię; może teraz *genocide studies* zbliżą do siebie różne nauki społeczne.

Szczególnie bliskie mi osobiście jest założone przez autora łączenie historii i socjologii, które może kiedyś, dzięki wysiłkom takim, jak widoczne w recenzowanej książce, zaowocuje rozwojem prawie dziś nie istniejącej w Polsce socjologii historycznej. Jest to już druga spośród niedawnych prac, poruszających problematykę dziejową, napisanych z pozytywnym skutkiem przez socjologów<sup>1</sup>. Recenzowana książka jest wręcz swoistym manifestem sensu uprawiania i możliwości socjologii historycznej — co mówię doprawdy nie tylko we wdzięcznej reakcji na docenienie

---

<sup>1</sup> Por. K. Wigura, *Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki*, Muzeum II Wojny Światowej, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Gdańsk — Warszawa 2011.

przez autora moich wysiłków na jej rzecz. Recenzowana praca jest i zapewne długo będzie wizytówką tego kierunku u nas — a więc tym bardziej warto ją dyskutować.

Okolicznością skłaniającą do widzenia w recenzowanej książce publikacji wyjątkowej — co najmniej w polskiej humanistyce — jest wspomniane bogactwo poruszonych w niej historycznych epizodów, spraw i wątków. Z tego punktu widzenia tytuł (*Rozkosz zemsty*), aczkolwiek dobry literacko i przez autora obszernie uzasadniony, nie wydaje mi się jednak adekwatny do treści. Jest to książka o różnych casusach ludobójstwa oraz o owym zjawisku jako takim. Nie musi ono wynikać z zemsty — chyba, że przyjąć, co autor sygnalizuje, iż dokonujący ludobójstwa najczęściej żyją w przekonaniu jakoby „jedynie” wyrównywali doznane krzywdy. Człowiek bijący kogoś najczęściej uznaje, że mści krzywdy. Tak jednak nie musi być w rzeczywistości. Sprawa jest trudna i zahacza o jedną z podstawowych różnic w nastawieniu badawczym historyków i socjologów. Historycy, aczkolwiek oczywiście nigdy *expressis verbis* nie negują wagi postrzegania świata przez aktorów wydarzeń, skupiają uwagę raczej na twardych faktach (pytają „jak było?”). Socjologowie (czy od czasu socjologii humanistycznej Znanieckiego?) przywiązują wielką wagę do sposobu widzenia rzeczywistości przez jej aktorów jako wręcz czynnika sprawczego biegu dziejów (nawet jeśli też nie zanegują przecież roli np. wybuchu wulkanu, czy innych, częściej zdarzających się czynników niezależnych od społeczności rozpatrywanej). Autor nie jest w pełni konsekwentny w swoim podejściu. Czasem — jak mi się zdaje — przywiązuje większą wagę do twardych faktów, a czasem znów do sposobu postrzegania rzeczywistości przez ludzi. W każdym jednak razie obecny podtytuł (*Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej*) lepiej oddaje zawartość książki. Nadto „rozkosz zemsty” można odczuwać nie tylko w działaniach ludobójczych. Większość z nas może powołać się na takie sytuacje choćby z potocznego doświadczenia. By powołać się na scenę całkiem niewinną: osoba mi bliska, jeżdżąca zagranicę, kupowała tam luksusowe ciuszki dla rodzinnego niemowlaka, z motywacją, że pokolenie jej dzieci (wojenne) takich nie miało. Czy nie była to też forma „zemsty”? Ta osoba przecież myślała: „Chcieliście mnie i moje dzieci zabić, a dziś kłaniacie mi się przed ladą...”.

Dotknąwszy już różnic między socjologią a historią, w dalszym ciągu recenzji skupię się na przyjemnościach, jakich doznawałem, i niepokojach, jakie odczuwałem, czytając recenzowaną pracę, właśnie jako historyk. Lektura pracy z pozycji zawodowej jest wszak naturalnym odruchem. Prawda, że w duszy buntuję się przeciw standardowi polskiej historiografii, ale mój bunt jest buntem z wewnątrz. Gdy spotykam się z innymi specjalistami, to moja dusza historyka daje o sobie znać mimo również posiadanego wykształcenia socjologicznego.

\*\*\*

Jako historyk zazdroszczę autorowi ogromu przerobionej, wszechstronnej literatury. Bibliografie książek historyków też oczywiście są długie, ale najczęściej zawierają prace, które odnoszą się do badanego epizodu dziejowego. Przyjęta przez autora koncepcja zaplecza własnych przemyśleń jest jednak nie tylko różna od spotykanej najczęstszej wśród nas, ale niesie też pewne niebezpieczeństwo. Praca oparta jest mianowicie na materiałach z drugiej ręki (w kategoriach historyków: na opracowa-

niach). Nie ma lub prawie nie ma w jej zapleczu materiałów pierwotnych (w kategoriach historyków: źródeł, czyli wytworów czasów oraz epizodów badanych). Jako nie oparta na źródłach w historycznym rozumieniu terminu, ta praca nie będzie więc dobrze przyjęta, a najpewniej nie zostanie w ogóle zauważona przez historyków. Niestety nie mogłaby być też podstawą uzyskania stopni naukowych z historii.

Sygnalizowana różnica zawsze występuje pomiędzy historykami, a reprezentantami socjologii historycznej. Wynika, po pierwsze z ograniczoności czasu badacza i o tyle nie ma na nią rady. Trzeba sobie zatem nade wszystko zdawać sprawę z jej negatywnych skutków po obu stronach. Historycy, zagrzebując się w archiwach, najczęściej nie są w stanie napisać szerszych prac (pomijam podręczniki, kompendia i — nazwijmy je tak — syntezy chronologiczne). Nie ma silnych, by źródłowo przebadać szeroki temat, obejmujący wiele epizodów. Z kolei socjologowie, odnosząc się do przeszłości poznawanej „z drugiej ręki”, chyba gorzej „czują” rzeczywistość, którą analizują. Sam próbuję w takich wypadkach stosować źródłowe przebadanie jakiegoś fragmentu rzeczywistości, choćby po to, by uzyskać bliższą i własną perspektywę przy czytaniu opracowań. Doceniam, że autor zastosował podobną metodę, zbliżywszy się monograficznie i na podstawie własnego badania do analizy pytania o charakter odnoszenia się Polaków do Niemców po wojnie. Rolę źródeł historycznych zastąpiły w tym wypadku wywiady, mogące być uznane za źródła (to odnosi się także do niektórych innych fragmentów pracy). Nie mogę jednak powstrzymać się przed wyrażeniem żalu, że choć wycinkowo nie wszedł w tym punkcie w materiał aktowy, który dałby mu odmienną perspektywę.

\* \* \*

Zrobiła na mnie wrażenie świadomość metodologiczna autora i wyraźnie odczuwana przezeń potrzeba okazania w różnych sprawach płaszczyzny metodologicznej, w ramach której prowadzi badanie. Czasami bywa to drażniące dla czytelnika, bowiem powoduje długie „wstępy” do spraw, a nawet „wycieczki w bok”. Powoduje też częste w dzisiejszej nauce, mnie — przynaję — denerwujące, wyrazy sytuowania się badacza wobec autorytetów dziś opromienionych światową sławą. Trudno jednak zaniegować samą zasadę metodologicznego sytuowania się autora. Jej realizacja imponuje historykowi. Przynajmniej w Polsce metodologia historiografii jest mało uprawiana. Pracuje paru kolegów, którzy to interesująco czynią, ale w najlepszym wypadku rezultaty ich wysiłków mało integrują się z głównym nurtem badawczym. Mam wrażenie, że czasem w miejsce metodologii uczymy studentów metodyki pracy, chyba nie zdając sobie sprawy z różnicy pomiędzy jednym a drugim.

\* \* \*

Zrobiło na mnie wrażenie autorskie dążenie do definiowania zjawisk, o których mówi. W tej konwencji pracy każdy wprowadzany termin trzeba zdefiniować. Momentami odczuwałem to nawet jako swego rodzaju natręctwo, przeszkadzające w czytaniu. Jednocześnie rozumiem, że określenie, co się uważa za „masakrę”, co za „ludobójstwo”, co za „ludobójstwo częściowe”, co za ludobójstwo „pełzające”, co za „autoludobójstwo”, a co, powiedzmy, za zabójstwo elit, oraz przywołanie pochodzenia tych definicji i odby-

tych już przez innych dyskusji nad nimi, jest w takiej pracy bardzo ważne. Byłem pod wrażeniem autorskiego dążenia do definiowania tym bardziej, że historycy na ogół nie definiują zjawisk, które badają. Oczywiście mówimy o tym, czym charakteryzował się jaki ustrój. Niedawne dyskusje o charakterze PRL (czy PRL była państwem totalitarnym?) niejako automatycznie włączały kwestię definicji totalitaryzmu. Niemniej nasze definicje rzadko spełniają logiczne kryteria poprawnego definiowania, częściej są wnioskami wynikowymi. Nie odczuwamy konieczności przyjęcia ścisłych kryteriów definicyjnych. Najczęściej posługujemy się terminami w ich potocznym rozumieniu, niekoniecznie zresztą takim samym w wypadku poszczególnych historyków. Wszystko to sprawia, że powinienem być za autorem w kwestii definicji. Jednocześnie wszakże, jako historyk, mający pewne doświadczenie w zakresie możliwie jak najbliższego przyglądania się faktom, wiem jak trudno jest zbudować definicję, które by były adekwatne do rzeczywistości. Na korzyść autora trzeba powiedzieć, że zdaje on sobie sprawę z trudności definiowania. Zauważa, że w Polsce nie ma zgodności, czy konflikt na Kresach był czystką etniczną, wojna domową czy ludobójstwem. Odnotowuje trudności określenia z rozpatrywanego punktu widzenia masowych śmierci głodowych na Ukrainie.

Szukanie adekwatnej definicji w naukach społecznych czasem zdaje mi się jakby sztuczne (ironizując za prof. Tadeuszem Łepkowskim: 100 zabitych = rewolta, 1000 zabitych = powstanie, 10 tysięcy = rewolucja). Czasem też wydaje mi się trochę bizantyjskie.

Wydaje się zatem, że przypadkowi temu [Wandei — M.K.] bliżej do krwawego pacyfikowania zbuntowanej prowincji — jak w dzisiejszych czasach wojny w Czeczenii — niż do eksterminacji wrogiej rasy czy nacji — jak w przypadku mordowania Indian w USA w wojnie secesyjnej. Na kontinuum zbiorowej przemocy pacyfikacja Wandei znajduje się jednak blisko ludobójstwa częściowego. (s. 146).

Rozumiem, że w postępowaniu prawników definicje muszą być jednoznaczne — bowiem rodzą konsekwencje dla ludzi. Jako historyk wiem natomiast, że nawet najlepsza definicja nie sprawdza się w realiach bez niuansów. Jako historyk wiem, że często wręcz od przypadków zależy, jak ostatecznie przebiegnie dany epizod, to, czy sprawa rozogni się jeszcze bardziej itd. Jeśli zaś nawet nie rozogni się, to może nie przestać być przez to haniebna.

Można oczywiście ustalić co nazywamy ludobójstwem, a co ludobójstwem częściowym. Jeżeli empiryczne dane będą właściwie stwierdzone, to pewne zjawiska przypiszemy do pierwszej grupy, a inne do drugiej. Przecież jednak to, kogo i w jakim procencie mordowano, lub to, czy komuś pozwalano uciekać, nie zawsze wynikało z przyjętych założeń, mogło być zmienne w rozwoju konfliktu itd. Czynników sprawczych, istotnych dla kwalifikacji zjawisk, nie zawsze da się wyróżnić i wyraźnie oddzielić. Czy Niemcy zabijali Żydów intencjonalnie (w wyniku założonego od początku programu), czy funkcjonalnie (w wyniku rozwoju sytuacji na froncie wschodnim)? Obawiam się, że jedno z drugim dobrze szło w parze. Przypadek może sprawić, że coś zachodzi lub nie — podczas gdy istota zjawisk, które zaszły i tych, które zaszły jedynie w małym stopniu, bywała dokładnie taka sama.

Jako człowiek — przynajmę — nie mogę się przejąć dyskusją, czy zbrodnię kатыńską należy kwalifikować jako ludobójstwo; w każdym wypadku była wielką zbrodnią. Odnoszę wrażenie, że mieszała się tam niechęć do obcych oficerów, świadomość ich wrogości wobec ZSRR, niechęć do Polski i jej armii... Gdyby wojna trochę inaczej przebiegała, to może wszystkich Polaków, którzy znaleźliby się z powrotem pod władzą radziecką, spotkałby los Tatarów krymskich, których nawet bycie komunistami i Bohaterami ZSRR nie ratowało od deportacji. Można bez końca dyskutować, czy Wielki Głód na Ukrainie był ludobójstwem, czy „tylko” wynikiem kolektywizacji, pojętej jako narzędzie industrializacji i zyskania pełni władzy nad wsią. Tymczasem sprawa prawdopodobnie z istoty była wynikiem mieszaniny czynników. Stalin wiedział — co wszyscy wiedzieli — że Ukraina jest spichlerzem Rosji i że to tam należy szukać zboża. Ukraińców pewno nie lubił, ale w ogóle nigdy nie przejmował się wymieraniem ludzi. Może — jak wspomina autor — niektórzy miejscowi komuniści prosili go o litość dla Ukrainy, ale warto też pamiętać, że mechanizm Wielkiego Głodu był poruszany w znaczącym stopniu siłami ukraińskich komunistów. Czy więc trzeba stanąć na stanowisku, że jeśli, bądź w stopniu, w jakim Wielki Głód był ludobójstwem, to był w pewnym (jakim?) stopniu autoludobójstwem? Może tak, ale taka dyskusja zaczyna mieć właśnie wyżej wspomniane cechy bizantyjskie.

Innym przykładem dyskusyjnym z punktu widzenia definicji mogą być dywanowe naloty na miasta niemieckie. Łatwo uwierzyć, że wielu lotników odczuwało wtedy radość, żywiło poczucie zemsty, chciało zabić jak najwięcej ludzi. Równie dobrym wytłumaczeniem może być jednak dojście zachodnich aliantów do wniosku, że to będzie jednak środek złamania Niemców — przy całkowitym braku współczucia dla nich. Podobno, gdy Churchillowi przedstawiono plan nalotów, miał wzruszyć ramionami i powiedzieć „Nie zaszkodzi spróbować”. Nie wszystko w ogóle, a zwłaszcza nie wszystko w wojnie, da się wytłumaczyć logicznie. Wojna USA z Japończykami rozkręcała się w kierunku rasizmu ludobójczego. Sam nie mam wątpliwości, że bombę atomową zrzucono na Japonię, a nie na Niemcy, bowiem Azja to nie Europa, z Żółci to nie Biali (co w moim przekonaniu było znaczące z punktu widzenia mentalności decydentów oraz ich środowisk). Niemniej zbudowano ją i zrzucono w ramach logiki wojny.

Na dobro autora powiem, że przywiązuje on wagę zwłaszcza do mechanizmu rozważanych zjawisk, czyli może nawet sprawy ważniejszej dla analizy niż liczba ofiar. Chyba nie zawsze jest jednak konsekwentny. Czasami w stosowaniu definicji ludobójstwa przywiązuje wagę, jakby przede wszystkim do mechanizmu czy do intencji aktorów zjawiska — a czasami mocny akcent kładzie na realizację, w tym na liczbę zabitych. Z jednej strony np. deklaruje, że:

Nie liczba ofiar, jak już podkreślono, decyduje bowiem o naturze zbrodni, ale jej mechanizmy. W szczególności, aby mówić o ludobójstwie, trzeba wykazać, że sprawca podjął działania zmierzające do zniszczenia grupy w pełni świadomie (przynajmniej od pewnego momentu). (s. 150)

Z drugiej strony, po informacji o zarabaniu siekierami przez Ukraińców mieszkańców wsi Parośla w powiecie Sarny, pisze: „Była to czystka etniczna na ludobój-

czą skalę” (s. 138). W kontekście rozpalania się Holocaustu mówi: „Eksterminacja Żydów przekroczyła w tym czasie poziom, który uprawnia do mówienia o ludobójstwie” (s. 195), kładąc w ten sposób nacisk na liczbę ofiar. O działaniach Czerwonych Khmerów w Kambodży mówi jako o „pełzającym ludobójstwie”, a zarazem podkreśla, że „nie prowadzono go według centralnego planu i przy pomocy »szwadronów śmierci«”, (s. 172).

Definicja sprowadza zjawisko do istoty zjawisk danej klasy (pomińmy już kwestię, co to jest „klasa zjawisk”). Historyk zaś, który pochyla się nad każdym przejawem, widzi jak konkretnie wymyka się definicji. Można dyskutować nad zachowaniami społeczeństwa polskiego po wojnie, co autor czyni. Dla autorskiego wywodu istotna jest wewnętrzna logika przeżyć wojennych i reakcji w stosunku do pokonanych wrogów. Przy monograficznym spojrzeniu widać jednak wyraźnie, że trzeba wziąć też pod uwagę czynniki nie występujący wówczas np. we Francji: pustkę władzy, przy wypełnianiu jej przez siły, do których przemożna część społeczeństwa co najmniej nie miała zaufania lub wprost żywiła niechęć.

Trzeba budować definicje choćby po to, by wiedzieć co jest typowe, a co nie. Jako historycy (właśnie jako historycy!) wiemy jednak, że każdy konkretny, każdy przebieg jest nietypowy — choćby dlatego, że następny pozostaje często pod wpływem poprzedniego. Gdzieś musi pojawić się zdrowy rozsądek badawczego działania pomiędzy ahistorycznym i afaktograficznym uogólnieniem, a kaszą faktów i fakcików. Prawo — jak była mowa — musi przyjąć jak najściślejsze kryteria czynów, bowiem od tego zależy los ludzi sądzonych. Historyk ma natomiast ten przywilej, że może widzieć sprawę w całym ich skomplikowaniu.

\*\*\*

Jako historyk przywiązuję dużą wagę do czynnika rozwoju sytuacji w ramach badanego epizodu dziejowego. Autor oczywiście też widzi tę stronę zagadnienia. Wie, że choć „ludobójstwo nie dzieje się bez świadomości i intencji sprawców”, to przecież „sam ludobójczy plan wyłania się stopniowo w procesie ludobójczej mobilizacji” (s. 273). Autor sygnalizuje, że w swoim czasie np. sterylizacja była powszechnie uznawanym rozwiązaniem dla uniknięcia potomstwa. Pomysły rozwiązania różnych problemów przez masowe migracje były kiedyś zwyczajne i przećwiczone. Niejeden epizod rozpoczął się niewinnie, daleko od jakichkolwiek treści ludobójczych. Według słów Rabaut Saint-Etienne’a Rewolucja Francuska miała tylko zreformować nadużycia<sup>2</sup> — a doszła do ludobójstwa w Wandei (bo tam doszło jednak do ludobójstwa!). Indianie Ameryk na początku też nie byli mordowani intencjonalnie; „Zmiana skali połączona ze zmianą jakościową nastąpiła dopiero po wojnie secesyjnej” (s. 156).

Autor ma zapewne rację, że „masowe gwałty na Niemkach były raczej typową zbrodnią czasu wojny niż przejawem planu eksterminacyjnego” (s. 319). Trudno się jednak powstrzymać przed obserwacją, że rozwijająca się fala gwałtów mogła zmienić charakter, w zdobytym Berlinie przyjmując już charakter działania wykańczającego Niemców. „Przyjemne” mogło iść zresztą w parze z „pożytecznym”.

<sup>2</sup> J. Baszkiewicz, *Wolność, równość, własność. Rewolucje burżuazyjne*, Czytelnik, Warszawa 1981, s. 207.

W sumie nieraz okazywało się, że człowiek ma wyjątkowe możliwości powrotu do stanu dzikiej bestii (jeśli rzeczywiście kiedyś taką był, co nie jest pewne). W potocznym języku mówi się o „owczym pędzie”, mówi się „kiedy wlałeś między wrony...” itd. Istnieje przymus zachowania zbiorowego. Taka ewolucja zjawisk, które mogły się rozwijać w różnych kierunkach, nie ułatwia jednak ich definiowania. Nie ułatwia też okoliczność, że dowolna grupa rzadko idzie jedną drogą — zaś wojna z jednej strony wzmaga dyscyplinę, a z drugiej pozwala też wyładowywać się ludziom w różnych kierunkach. Stalin mógł chcieć od pewnego momentu wojny powściągnąć *out of hand violence* swoich żołnierzy — ale jego i ich motywacja nawet w stalinowskim systemie nie musiała być tożsama. W każdym wypadku rozpoznanie struktury kształtowania się opinii i działań jest sprawą trudną. Istnieją liderzy opinii, propaganda, naśladownictwo itd. Strach i chęć zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwem można rozbudzić z oparciem w rzeczywistości lub bez tego. W sytuacjach wojennych refleksja nad takimi sprawami jest podwójnie trudna, gdyż natura zjawiska jest bardziej skomplikowana. Autor przytacza ulotki Erenburga dehumanizujące Niemców i zachęcające do ich mordowania. Nawet jeśli są one ciekawym źródłem, to powstaje pytanie do czego są źródłem. W jakim stopniu odzwierciedlały one myślenie przeciętnych żołnierzy, a w jakim stopniu je kształtowały? Mogły czynić jedno i drugie — ale to jeszcze trzeba by zbadać (i to zaczynając od pytania, czy sowieccy żołnierze naprawdę je czytali). Dla mnie są one nade wszystko materiałem do refleksji na temat rezygnacji komunizmu z treści internacjonalistycznych — choć przyznaję, że w takiej wojnie trudno z tego czynić zarzut elicie komunistycznej.

\* \* \*

Jako historyk zazdroszczę autorowi problemowego ujęcia rozważanej przezeń tematyki. Popieram jego stanowisko, że nawet Holocaust trzeba rozpatrywać wspólnie z innymi ludobójstwami („W badaniach nad ludobójstwami niezbędna jest szeroka komparatystyka różnych przypadków ludobójstw. [...] Choć Holocaust był ludobójstwem totalnym, to jednak nie jedynym tak przemyślanym, zaplanowanym i morderczym” [s. 35]). Powiedzmy sobie zresztą, że właśnie dopiero przy porównaniach widać, co w Holokauście było rzeczywiście specyficzne. Wiem oczywiście, że akurat słowo ‘Holocaust’ bywa dziś nadużywane. Sam, ku swojej złości, natknąłem się kiedyś w wydawanej na Helu gazecie na określenie „holocaust ryb”, odnoszące się do jakichś działań sportowych w Zatoce Puckiej, jakoby szkodliwych dla rybiego gatunku (sam autor sygnalizuje absurd mówienia o „holokauście kurczaków” i „ludobójstwie zwierząt” [s. 12]).

Zgadzam się z autorem, że „zadawanie cierpienia i poniżanie to nie czynności czysto spontaniczne, ale realizacje określonych schematów fabularnych i wzorców kultury” (s. 107). Odruchowo boję się, rzecz jasna, stwierdzenia, że okrucieństwo może być uwarunkowane kulturą; taka obserwacja narzuca się przy okrucieństwie japońskim np. w Chinach (autor wskazuje na kodeks honorowy samurajów lub/i średniowieczne doktryny japońskie [s. 114-115]). Wolę żyć w przekonaniu, że każdy naród może szybko stać się zarówno życzliwy światu, jak okrutny (*vide casus Francuzów w Algierii!*). Generalnie jednak, jak mówię, zgadzam się z autorem, że działanie

okrutne jest też kulturą (w socjologicznym rozumieniu tego terminu!). Trudno mi jednak nie zadać pytania, czy okrucieństwo Mau Mau było wynikiem ich kulturowych uwarunkowań, czy poczucia niemożności dania sobie rady z Białymi? W ich okrucieństwie mogła się wyrazić reakcja bezsilnych (Gandhiemu było relatywnie łatwo być eleganckim, gdy miał do czynienia z ówczesnymi Brytyjczykami!).

Te wszystkie niuanse nie zmieniają wszakże pochwały problemowego podejścia. Do zazdrości wobec autora w tym względzie pcha mnie okoliczność, że historycy najczęściej wychodzą od miejsca, czasu i wydarzenia. Od tego mogą dojść do wniosków, dotyczących szerszego problemu lub/i do porównania wyników z innymi — ale rzadko problem, rozpatrywany na materiale wielu przejawów zjawisk danej klasy staje się naszym punktem wyjścia. Nawet refleksja porównawcza stosunkowo rzadko jest częścią końcówek historycznych badań. Jeśli sprowadzić rzecz do ludobójstw, to w wypadku historyków jeszcze prawdziwsza staje się obserwacja autora: „Jak widać z powyższego przeglądu, w Polsce dominują studia poświęcone Shoah. Brakuje socjologicznych opracowań podejmujących się komparatystyki ludobójstw w celu budowy ogólnych modeli wyjaśniających różne aspekty eksterminacji. Był to jeden z powodów, dla których powstała ta książka” (s. 102).

Zazdroszcząc, jako historyk, nie mogę się jednak wyzbyć niepokojów w kwestii problemowych ujęć czasem może zbyt łatwych. Każde badane zjawisko jest niepowtarzalne. Dla ujęcia problemowego trzeba w jakimś stopniu odsunąć z pola badawczego jego specyfikę. By uporządkować casusy dla ich łącznego badania, dla wychwycenia elementów ważnych z punktu widzenia analizy problemowej, trzeba uprościć rozpatrywane zjawiska. Tymczasem nawet przypadkowe czynniki mogą mieć ogromny wpływ na ukształtowanie się interesującego nas aspektu przebiegu epizodu. Niszczenie Indian wszystkich trzech Ameryk było zjawiskiem bardzo zróżnicowanym w czasie, przestrzeni oraz w sposobie zajścia (od niszczenia pracą w XVI-wiecznej Brazylii poczynając, poprzez wpływ licznych chorób po trochu wszędzie, aż do współczesnego ludobójstwa Majów w Gwatemali). Cały system Gułagu nie miał na celu mordowania, tylko produkowanie — a konsekwencje były, jakie były. Z punktu widzenia zadawania śmierci Gułag nie był zasadniczo różny od masowego strzelania w tył głowy, a pierwsze trudniej kwalifikujemy jako ludobójstwo niż drugie.

Czynniki z dawniejszych dziejów mogą oddziaływać na wybuch i przebieg ludobójstwa lub nie. Mogą być długo uśpione, a potem wyzwolone czy to na skutek przypadkowego ich odkrycia, czy, powiedzmy — na skutek zachwiania całego systemu. Uaktywnienie wybuchowego podkładu historycznego jest w gruncie rzeczy ważniejsze od jego istnienia. Strach faktycznie, jak twierdzi autor, jest często generatorem działań ludobójczych. Nawet w ramach jednego epizodu historycznego może on jednak współdziałać — jednocześnie lub kolejno — z innymi czynnikami. W Rewolucji Francuskiej występował strach przed spiskiem arystokracji stowarzyszonej z wrogami zagranicznymi — co doprowadziło do masakr dokonanych przez tłum w więzieniach paryskich i późniejszego zinstytucjonalizowanego terroru. Jednocześnie występowała tam wszakże specyficzna logika rozwoju zjawiska rewolucyjnego: eskalacji i radykalizacji działań i celów, także przekonania, że trzeba dążyć dalej, że już niewiele brakuje do zwycięstwa, że trzeba jeszcze uczynić jakiś krok, wyelimi-



nować tych, którzy brużdżą... Taka postawa mogła być komponentą strachu (przed upadkiem rewolucji), ale nie da się chyba zamknąć jedynie w ramach tego zjawiska.

Nieraz zjawisko brutalizacji konfliktu i jego rozpalania się można określić jako „ucieczkę do przodu”. Skoro robi się coś brutalnego, to, chcąc zagłuszyć własne opory, podtrzymać własne przekonanie o słuszności, zagłuszyć niepewnych współuczestników, trzeba zrobić coś jeszcze gorszego. Przekracza się *point of no return* i pozostaje płynąć dalej.

Widzę też zjawiska, które miały ogromną wagę dla epizodów ludobójstwa, a przecież wyjątkowo trudne do interpretacji w analizie problemowej. W czasie Wielkiej Czystki w ZSRR, którą według terminologii autora można najpewniej zakwalifikować jako częściowe autoludobójstwo, władze lokalne otrzymywały liczbowo określoną normę wrogów do wykrycia i wykończenia, zaś niektóre dodatkowo prosiły o jej podwyższenie. Powiedzmy, że to jeszcze dałoby się zinterpretować i włączyć do rozumowania jako działanie zdarzające się wielokrotnie. Jak jednak włączyć oraz zinterpretować jednostkowy (o ile wiadomo!) przypadek pewnej towarzyszkii, która, na zebraniach partyjnych, chyba w Kijowie, wołała, że jej oczy widzą w kolejnych osobach wroga i w ten sposób skutecznie je wykańczała?<sup>3</sup> Budowana teoria takie zjawiska pomija — a właśnie jako krańcowe były one bardzo charakterystyczne i jako takie może ułatwiające zrozumienie, co się wtedy działo.

Jestem za budowaniem teorii w naukach społecznych, ale — powtórzę jeszcze raz — jako historyk wiem, jak często nawet przypadkowy czynnik istotnie zmienia bieg rzeczy, którego możnaby oczekiwać. Społeczeństwa niewolnicze często były podminowane podświadomym strachem przed buntem niewolników; stąd łatwe przechodzenie do okrucieństwa przeciw nim — ale przecież nie zawsze tak było. W innym wypadku możemy mówić o utajonym strachu np. przed skolonizowanymi, w jeszcze innym przed grupami zdominowanymi bez sformalizowanej kolonizacji. Bardzo trudno jest jednak zrobić jeden model.

\* \* \*

Jako historyk zazdroszczę autorowi odwagi w objęciu refleksją gigantycznego obszaru dziejów i przekroczenia granic epok chronologicznych. Mało który historyk odważyłby się mówić na poważnie zarówno o starożytności, jak o czasach najnowszych, wręcz współczesnych. Mało który odważyłby się w ogóle wyjść poza własną specjalizację chronologiczną. Tym bardziej niewielu z nas odważyłoby się budować uogólnienia biegnące przekrojowo przez dzieje. Odmienne niż w wypadku prac historyków, w tej książce cały świat i całość dziejów jest w obrocie. Mówiąc o Wandei autor „na tym samym wydechu” nawiązuje do Czeczenii oraz Indian amerykańskich. Jeden wniosek płynie z tego wszystkiego napewno: że natura człowieka zmieniła się na przestrzeni dziejów mniej niż myślimy. Zawsze możemy wrócić do pozycji małpy na drzewie i w każdej epoce część z nas to robiła („Ludobójstwo nie może być przeto traktowane jako wyjątek w normalnym biegu historii, jako erupcja barbarzyństwa w zapomnianych przez Boga i giełdę zakątkach świata. Przyczyny ludobójstwa są

<sup>3</sup> P.P. Wiczorkiewicz, *Łańcuch śmierci. Czystka w Armii Czerwonej 1937–1939*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2003, s. 113 i in.

banalne, czyli wszechobecne” [s. 364]). Nawiasem mówiąc, właśnie dlatego, że nasz gatunek mimo wszystko nie zmienił się jakościowo, możemy uprawiać taką, przekrojową historię.

Na historyku robią wrażenie spisane po analizie casusów przekrojowe uogólnienia zagadnień ludobójstw i ludobójstwa jako specyficznego zjawiska, właściwego rodzajowi ludzkiemu (rodzaje dyskursów ludobójczych, takich jak medyczno-epidemiologiczny, fundamentalistyczno-religijny, spiskowy, użyteczności i pasożytnictwa; kwestie udziału sprawnych instytucji i ludzi różnych specjalności w rozpatrywanych procesach; narzędzia legitymizacji zjawiska ludobójstwa). Myślę, że owe uogólnienia można by rozbudowywać — np. o odpowiedź na pytanie dlaczego mobilizacja ludobójcza w pewnych warunkach następuje łatwiej niż mobilizacja do czynienia dobra? Dlaczego NKWD funkcjonowała jeszcze stosunkowo najsprawniej spośród różnych instytucji w ZSRR? Nie przyrównując: dlaczego polskie władze komunistyczne były w stanie sprawnie przygotować stan wojenny, a nie były w stanie zrobić wielu innych rzeczy, które odsuwałyby jego perspektywę? Oto zaś inne pytanie: dlaczego ludobójstwo tak trudno przerwać, że jest prowadzone, mimo iż przynosi niebezpieczeństwo dla sprawców? W końcu Stalin prawie wykończył swoją armię, gdy każdy już mógł obawiać się wojny; Żydów mordowano, gdy narzędzia mordu (np. pociągi) były już *in extremis* bardziej potrzebne Niemcom do czego innego; gdy Niemcy stali pod Moskwą, więźniów nadal trzymano w łagrach, a pilnowały ich całe dywizje NKWD.

Autor widzi, że zjawisko ludobójstwa było znacznie wcześniejsze niż zjawiska XIX i XX w. (sięga np. do epizodu walki z albigensami [s. 124]). Cieszę się, że doprowadza analizę do współczesności, a nawet twierdzi, że analizowane zjawisko jest ważne także dla niej („Ludobójstwo to nie tylko krwawa, przewyciężona przeszłość. Mechanizmy społeczne, które prowadzą do ludobójczej mobilizacji, nadal działają. [...] Wiek XX był wiekiem ludobójstw — nie można naiwnie zakładać, że wiek XXI jest uodporniony na tę plagę ludzkiej destrukcyjności” [s. 375-376, ostatnie zdania książki]). Zawsze ubolewam, że historycy zatrzymują się na ogół u progu współczesności, jak gdyby ta nie była częścią dziejów i, jak gdyby, nie przyjmowali do wiadomości, że punkt dojścia jest równie ważny dla analizy zjawiska, jak jego geneza lub/i początki, którymi zajmujemy się znacznie częściej.

Jednocześnie, będąc pełen uznania dla refleksji ponadepokowej, jako historyk zgłoszę wszakże kilka obaw. Pierwsza to ta, że taką refleksję w praktyce można prowadzić jedynie na podstawie opracowań. Prawie nie ma historyków, którzy byliby w stanie opanować warsztat badań źródłowych dla kilku epok. Skutek jest taki, że historycy są specjalistami od relatywnie krótkich okresów chronologicznych i wąskich spraw. Badanie zaś wyłącznie na podstawie opracowań ma swoje zalety, ale ma też wyżej sygnalizowane wady. Druga okoliczność to ta, że nawet pozornie takie same zjawiska nie są takie same, gdy zachodzą w różnych epokach. Odmienne są ich uwarunkowania oraz możliwości zajścia, inne zjawiska im towarzyszą. Trzecia okoliczność to fakt, że nieraz te zjawiska, które zachodzą wcześniej, wpływają na późniejsze, co zmniejsza ich porównywalność. Wiadomo, że Hitler pamiętał o mordzie Ormian jako o pozytywnym przykładzie, gdy snuł swoje mordercze plany. Nie przyrównując, Churchill ponoć pamiętał o „oczyszczeniu” Turcji z Greków, gdy my-

ślał o transferze Niemców z Polski do Niemiec po wojnie. Nawiasem, ciekawa jest obserwacja autora, że w Polsce po wojnie mówiono o... „ostatecznym rozwiązaniu problemu ukraińskiego”.

Czwarta okoliczność to zmienność całej cywilizacji, zachodząca w długiej fali czasu. Autor ją oczywiście widzi (np. gdy zwraca uwagę na to, że dopiero z czasem pojawiły się masowe, karne armie, czy na to, że jedną z funkcji dawniejszego zadawania cierpień było rozchodzenie się wiadomości terroryzujących ludzi). Nie ewolucja dziejowa interesuje go jednak najbardziej, jak najczęściej historyków. Kładzie nacisk przede wszystkim na to, że „nowoczesność” nie odkryła woli „puryfikacji” z grup niepożądanych, lecz „wzniosła ją na nowy poziom” (s. 135). Przypomina, że nawet obozy koncentracyjne Amerykanie zorganizowali już w trakcie pacyfikacji Filipin po wojnie z Hiszpanią, Anglicy w związku z wojnami burskimi, zaś Niemcy, gdy niszczyli Herero i Nama (s. 135, 164). Tymczasem zmienność dziejowa miała różne aspekty. Warto mieć na uwadze, jak ważna dla zagadnień terroru lub/i ludobójstwa była zmiana wyposażenia technicznego i możliwości organizacyjnych sprawców. Pamiętam, co pisał autor o tym, że znaczna część Holokaustu, wbrew naszej dzisiejszej pamięci, nie odbyła się w ramach procesu przemysłowego. Pamiętam, że nawet w naszych czasach niejedno ludobójstwo odbyło się przy pomocy maczet i podobnie prymitywnego sprzętu. Nawet jednak relatywnie prymitywny Gułag nie zadziałałby tak masowo i sprawnie bez zaplecza technicznego chociażby w postaci lokomotywy parowej i prądu elektrycznego do reflektorów (na szczęście jeszcze nie było wtedy komputerów!). Z kolei różne działania zmierzające do zapanowania nad ludźmi mogą się już dziś odbywać bez przelewu krwi. STASI było stosunkowo mało krwawe, a do czasu znakomicie sobie radziło w niecnym dziele.

Innym elementem głębokiej ewolucji było narastanie myślenia o narodzie w sformalizowanych kategoriach (choćby sformalizowanych *de facto*, a przynajmniej wyraźnych). Mord Ormian narodził się w ramach tendencji modernizacyjnych w Turcji jako jeden z pierwszych wyrazów takich tendencji — bowiem nacjonalizm był tam nośnikiem prądów modernizacyjnych (z grubsza: musimy się zmodernizować w imię przetrwania narodu). Przed II wojną światową w Europie wszyscy myśleli o narodowości i to myśleli o narodzie w kategoriach etnicznych (założmy, że oni wiedzieli i że my wiemy, co właściwie znaczy „etniczny”). To była zupełnie podstawowa kategoria określająca ludzi („Żydzi są tacy...”, „Niemcy są tacy...”, „Polacy są tacy...”).

Warto też zauważyć, że w miarę biegu czasu zmieniał się standard tego, co uważano za normalne. Autor widzi tę sprawę („Naszkiecowane tu przypadki pokazują, że już przed erą ludobójstw istniał potencjał eksterminacji różnie definiowanych obcych. Dominował jednak przede wszystkim eliminacjonizm, który nie prowadził do realizacji projektów ludobójczych” [s. 128]). W czasach nowożytnych (powiedzmy tak, nieco upraszczając) okrucieństwo wobec indywidualów oraz całych grup było uważane za normalne. Zanalizowane przez autora okrucieństwo represji Wiśniowieckiego wobec Kozaków, czy też okrucieństwo działań kozackich lub chłopskich, było normą. W kontekście krucjat autor mówi, że ze zdobywaniem twierdz w ogóle wiązało się wtedy wielkie okrucieństwo — co zresztą miało szczególnie posmak w wypadku walki w imię religii podobno miłosiernej. Przez wieki okrucieństwo w kara-

niu było normą. W naszych czasach norma jest już inna. Nie wiem, czy ta ewolucja ulżyła w cierpieniu jakiegokolwiek ofierze; przypuszczam, że nie. Warto jednak wyjaśnić dlaczego hitlerowcy nie mówili o mordzie lecz o „ostatecznym rozwiązaniu”, zaś sowieccy śledczy zmaltretowanym ludziom wtykali do rąk pióro, by własnoręcznie podpisali zeznania. Nawet sami te prawie bezwładne ręce prowadzili po papierze. Moim zdaniem, szło o samopoczucie katów, by — jako jednak ludzie — w konsekwencji łatwiej wierzyli w „praworządność” tych strasznych działań. Temu samemu służyła dehumanizacja osób poddanych prześladowaniom i mordowanym (golenie, pasiak, sytuacja sprzyjająca upodobnieniu zewnętrznemu, numer, obnażenie przed śmiercią<sup>4</sup>, przemysłowe metody zabijania, mające m.in. chronić nerwy oprawców). Może też podobną rolę odgrywało rozmięczenie czynności mordu na pozornie niewinne działania — choć trudno powiedzieć, czy ta metoda wynikała z sygnalizowanej intencji, czy z nowoczesnej organizacji.

W trakcie dziejów zmieniała się stosowalność koncepcji „rasy”. Wiem oczywiście o istnieniu rasizmu oraz działaniach rasistowskich także w czasach dzisiejszych, ale w dawniejszych, to była kategoria stosowana powszechnie jako całkowicie normalna, naznaczająca człowieka w znacznej liczbie aspektów jego istnienia. W trakcie biegu dziejów zmieniało się również pojęcie własnej grupy, także stopień jednolitości treści właściwych dla grupy i możliwość poddania wszystkich jej członków jednolitym wpływom. Nawet jeśli dawniej bywali władcy okrutni i silnie dominujący nad poddanymi, to totalitaryzm jest zjawiskiem stosunkowo nowym.

Zmieniał się nasz sposób myślenia. Kiedyś równie dobrze słowa „Gwałt niech się gwałtem odciska”, jak „Bój to jest nasz ostatni...”, jak, powiedzmy, hasło „Kto na drodze granatem wał w głowę”, odzwierciedlały myślenie najpewniej typowe. Dziś w naszej strefie cywilizacyjnej tak „się nie mówi”, choć — przynajmniej — również w naszej strefie tak się nieraz robi.

\* \* \*

Jako historyka zainteresował mnie odnotowany przez autora wpływ ludobójstwa na dalszą historię społeczności — co jest fragmentem szerszego tematu oddziaływania przeszłości na przyszłość. Idzie nie tylko o zjawiska demograficzne. Idzie także o punkt odniesienia społeczności, o traktowanie przeszłości jako czynnika jednoczącego grupę. To zagadnienie można oczywiście badać dogłębnie; można je uczynić samoistnym przedmiotem refleksji. Nawet w Izraelu Holokaust nie od razu stał się zasadniczym czynnikiem jednoczącym społeczność. Dziś nie ulega wątpliwości, że taką rolę to wspomnienie odgrywa, a nawet ma wpływ na bieżącą politykę państwa. Wśród Ormian odwołanie do narodowego nieszczęścia przyszło chyba bardziej bezpośrednio.

---

<sup>4</sup> Zwrócenie uwagi na ten aspekt sprawy zawdzięczam prof. Irenie Grudzińskiej-Gross (w dyskusji po jej referacie „Gramatyka milczenia świadków”, wygłoszonym na konferencji „»Być świadkiem Zagłady«. W 70. rocznicę powstania w warszawskim getcie”, zorganizowanej w Warszawie, w kwietniu 2013 r.).

Sprawę można rozszerzyć. Na dzisiejszej Ukrainie część klasy politycznej chce uczynić z Wielkiego Głodu lepsze bardzo podzielonego narodu — zakładając, że zjednoczenie wokół pamięci ofiar ma stosunkowo największe szanse powodzenia.

Czasami walka o pamięć nieszczęścia jest powiązana z walką o dzisiejszy status grupy. Bywa też „argumentem przetargowym” wokół wątku, kto więcej cierpiał. Proponuje się nawet granie liczbą trupów w przetargach dyplomatycznych. Niektórzy walczą o pokazanie, że Polacy też byli gazowani (jakoby w rzekomej komorze gazowej pod Dworcem Zachodnim w Warszawie). Sam bardzo przykro odczuwam takie, instrumentalne targi o liczbę ofiar.

Nawet od strony sprawców zbrodnia może służyć integracji. Dla tej przyczyny zbrodniarze najczęściej dbają, by wszyscy członkowie grupy skompromitowali się w procesie ludobójstwa — by nikt nie został „czysty”, by nie był wyrzutem sumienia, a ewentualnie potem oskarżycielem. Także po to, aby praktycznie wszyscy nie mieli już innego wyjścia niż bronić się do końca (hitleryzm!).

\* \* \*

Jako historyka zainteresowało mnie postawione przez autora pytanie, które my zadajemy zbyt rzadko — a mianowicie dlaczego interesujące nas zjawisko nie zaszło, nawet jeśli można się dopatrzeć przesłanek je uprawdopodobniających. Autor stawia mianowicie pytanie dlaczego nie doszło do ludobójstwa Niemców po klęsce 1945 r. Czynniki, które wymienia, są oczywiście istotne — acz chyba nie docenia się przejawów zemsty takich, jak publiczne wykonywanie wyroków na hitlerowcach (to dopiero dawało „rozkosz zemsty”! — by nawiązać do tytułu książki). Można by też rozpatrzeć niektóre zjawiska bliskie jeśli nie ludobójstwu, to w każdym razie masowej zemście, poniekąd zastępcze wobec niej i ją wyrażające — jak np. sposoby grzebania zabitych żołnierzy niemieckich. Ta sprawa wraca do dziś — niekiedy w formie ciekawej z punktu widzenia rozważanych spraw. Przy budowie Trasy AK w Warszawie odkryto miejsca masowego pogrzebania (celowo nie mówię „grobow”) Niemców pod murem Cmentarza Komunalnego w Warszawie. Wyraźnie zdecydowano się na rzucenie ich pod murem cmentarnym (bo niby gdzie indziej?), ale przecież nie na cmentarzu, który, co też charakterystyczne, wówczas nazywał się „Wojskowym”. W wielu miejscach do dziś odnajduje się w różnych miejscach nieoznaczone groby niemieckie. Brak oznaczenia też był chyba formą zemsty, swoistym *damnatio memoriae*. Ślad miał zniknąć.

Sugerowałbym autorowi szersze zajęcie się formami zemsty wyłącznie symbolicznej. Oczywiście niejedną z nich on widzi — jak np. pisanie „Niemcy” po wojnie z małej litery. Taki charakter miało też, np. niedopuszczanie do grania muzyki Wagnera w Izraelu.

Autor chyba nie docenia myślenia (nawet po wojnie!) kategoriami prawa. Statystyka nie tylko z Polski wskazuje, że kto z domniemanych winnych został powieszony w pierwszych dniach po ucieczce hitlerowców, ten został powieszony. Gdy wojsko i administracja cywilna przejmowały kontrolę nad wyzwolonym terenem, sprawy złoczyńców (jeśli nie były to postacie symboliczne) zaczynały się ciągnąć — bowiem cywilizowane, nawet wczesnopowojenne prawo ma tę cechę, że nie wydaje

się ostatecznych wyroków szybko. Nawet oczywistą winę, gdy jest to wina zbiorowa, trudno udowodnić — co powoduje, że także po upadku komunizmu w różnych krajach skazywano złoczyńców za czyny relatywnie małe, ale bardzo konkretne, intelektualnie łatwe do zdefiniowania i potępienia (casus szefa STASI Mielkego!).

\* \* \*

Doceniając korzystanie przez autora z dorobku wielu dyscyplin nauk społecznych, chętnie widziałbym szersze odwołanie się przezeń do psychologii. Wydaje się, że w sprawach takich, jak nienawiść i zemsta, ta dyscyplina powinna mieć dużo do powiedzenia. Dziwi mnie zwłaszcza niewielkie odwoływanie się przez autora do kategorii „przeniesienia agresji” (prawda, że o „koźle ofiarnym” autor trochę mówi). Przecież, niedaleko szukając, agresja Niemców przeciw najpierw niemieckim, a potem wszelkim Żydom daje się tłumaczyć jako przeniesienie agresji — zarówno oddolne, jak sterowane odgórnie (granice są zresztą często wątpliwe). Różne aspekty przeniesienia agresji wpłynęły na stosunek do Żydów w Polsce przed wojną i za okupacji hitlerowskiej, także na Kresach po wejściu Armii Czerwonej.

Podobnie można by skorzystać z dorobku psychologii w sprawach stereotypów i dróg myślenia. Po wojnie odwołanie się do niemieckości, jako rzekomo tłumaczącej hitleryzm, było operacją myślową pociągającą — gdyż łatwą. Było to tym ciekawsze, że przed wojną stereotyp Niemca w Polsce — w odróżnieniu od stereotypu Rosjanina i Rosji — był dobry. Nawiasem mówiąc, w Ameryce Łacińskiej sympatie profaszystowskie, zauważalne z grubsza do Pearl Herbour, tłumaczyły się w znacznym stopniu dobrym stereotypem Niemców i Włochów.

Zagadnienia ludobójstwa rzucają też ciekawe światło na kwestię autostereotypu. Masakry kolonialne miały także ten aspekt, że paradoksalnie służyły polepszeniu autowizji morderców, jeszcze mocniejszemu powiedzeniu, że skolonizowani to zwierzęta. Masakra, zwłaszcza dokonywana w atmosferze święta, służy dowartościowaniu sprawców, zmienia się — co autor widzi — w wielkie święto niszczenia, upodlenia innych, w niektórych cywilizacjach służy przejściu ich siły. Jakby to paradoksalnie nie brzmiało, jest coś podobnego w mechanizmie upodlenia szkolnego ciamajdy, obcinania Żydom bród, zjedzenia serca czy wątroby wroga w cywilizacjach prekolumbijskich. Patrząc od strony ofiar wielkość nieszczęścia doznanego przez grupę też może stawać się narzędziem dowartościowania — o czym była mowa wyżej.

Może głębsze odwołanie się do psychologii dałoby ciekawe rezultaty w kwestii wyzwalania się złych cech w człowieku, na ogół reprimowanych. Autor podejmuje występujący w literaturze wątek, że wśród hitlerowców mało było klinicznych sadystów. Czy trzeba zatem stanąć na stanowisku, że w każdym lub prawie każdym z nas siedzi diabeł, w zwykłych sytuacjach szczęśliwie hamowany? W rozpatrywaniu tego zagadnienia trzeba jednak wziąć pod uwagę nie tylko naturę ludzką, ale umiejscowienie człowieka w grupie. Frantz Fanon kiedyś powiedział, że zjawisko dobrych kolonialistów nie może istnieć. Samo usytuowanie białego człowieka w koloniach przesądzało jego rolę, widzenie go przez kolorowych, ich stosunek do niego, a zwrot-

nie jego stosunek do nich. Przypuszczam, że z punktu widzenia Niemca było bardzo trudno być „dobrym Niemcem” w okupowanych krajach.

\*\*\*

Jak każde zjawisko dziejowe, zwłaszcza dramatyczne, tak i to rozpatrywane rzuca interesujące światło na inne zjawiska, niekoniecznie bezpośrednio związane ze sprawą. Pojawiający się w pracy wątek łatwego stosowania ludobójstwa w odniesieniu do ludów kolonialnych dużo mówi o funkcjonującej w białych społecznościach faktycznej definicji człowieczeństwa. O tym samym mówi oburzenie wielu Europejczyków na barbarzyńskie praktyki w Europie, gdy nie oburzali się na analogiczne praktyki odnoszące się do skolonizowanych. Pojawiający się w wykorzystywanych wywiadach wątek, że dzisiejsza młodzież powinna być szczęśliwa, skoro żyje w czasach o tyle lepszych niż respondenci za swojej młodości okupacyjnej, jest interesującym przyczynkiem dla mechanizmu kompensacyjnego ludzi. Podobne zdania słyszałem z ust emigrantów a propos fal emigracyjnych późniejszych niż ich własne; podobne słyszałem też od ludzi, którzy dorastali za komunizmu w odniesieniu do następnego pokolenia itd.

Ciekawe światło na funkcjonujące w Polsce stereotypy Rosjan i Niemców rzuca wspomniane przez autora pozytywne witanie Niemców w Brodach jako wyzwolicieli od Sowietów. Swego czasu jedna z moich magistrantek stwierdziła to samo w odniesieniu do wejścia Niemców do zajętego przez Armię Czerwoną Białegostoku<sup>5</sup>. Dziś nikt o tym w Polsce nie pamięta i nie chce pamiętać (mówi się natomiast intensywnie o czasem faktycznym, a czasem przesadzonym witanium przez Żydów Armii Czerwonej na Kresach).

Bardzo ciekawe są uwagi autora o widzeniu w Polsce Ukraińców, wzmocnionym, rzecz jasna, konfliktami wojennymi, przy niechęci do pamiętania negatywnych zachowań polskich na Wschodzie i później, w akcji „Wisła”. Tę ostatnią łatwo dziś zresztą usunąć z polskiego autorachunku jako organizowaną przez komunistów — tym bardziej, że tych ostatnich słabo włącza się do narodu.

\*\*\*

Na zakończenie chciałbym podkreślić pewną fundamentalną, moim zdaniem, zaletę pracy. Mianowicie autor, choć pisze o sprawach wyjątkowo drastycznych oraz uczuciowo istotnych dla opinii publicznej, wie, że badacz — mniejsza, czy historyk, czy socjolog, czy jakikolwiek inny specjalista — nie może podlegać „owczemu pędowi”. Jako charakterystyczne dla jego podejścia zacytuję dwie uwagi. Jedna została wypowiedziana w ramach rozważań ogólnych — przy określaniu kategorii badawczych:

Czasami — mówi autor — z socjologicznego punktu widzenia plutonu egzekucyjnego od bojówki ludobójców nie dzieli tak wiele, jak to narzuca nam jako oczywistość wiedza potoczna. (s. 90)

---

<sup>5</sup> Agnieszka Maciaszczyk, *Życie codzienne na Białostocczyźnie pod okupacją sowiecką i niemiecką w latach 1939 — 1944*, praca magisterska napisana pod kierunkiem Marcina Kuli w Instytucie Historycznym UW w r.ak. 1998/99.

Druga uwaga pada w kontekście sprawy szczegółowej — Wielkiego Głodu na Ukrainie:

Tylko powściągnięcie emocji i racjonalna argumentacja pozwalają na dojście do wiążących konkluzji. Na razie w Polsce mamy najczęściej do czynienia ze swoistą posttraumatyczną zemstą semantyczną na Rosjanach, których nonszalancko oskarża się o najgorsze intencje i zbrodnie, jakby chcąc pogłębić czerń wizerunku Imperium Zła z polityki Ronalda Reagana. (s. 150)

Obie te deklaracje są równie charakterystyczne dla autora, jak stanowią ważną wskazówkę dla nas wszystkich.

*Marcin Kula*

*Wileńszczyzna. Przedmioty — opowieści — refleksje*, zbiór rozpraw pod red. Piotra Oleksego i Mateusza Sikory, Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2012, 185 ss.

Najnowsza książka o Wileńszczyźnie ukazuje nam tę krainę i zamieszkujących ją ludzi przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku oraz związanych z nimi historii. Jest efektem badań przeprowadzonych w ramach projektu „Małe przedmioty, duże historie”, zrealizowanego w październiku 2012 r. przez grupę wrocławskich i wileńskich studentów. Wpisuje się w kilkudziesięcioletnią tradycję kontaktów Uniwersytetu Wrocławskiego i wyższych szkół Wilna (w tym przypadku reprezentowanych przez Klub Studentów Polskich na Litwie). W projekcie wzięło udział 10 osób z Polski oraz tyle samo z Litwy. Przez niemal tydzień zbierali historie o przedmiotach codziennego użytku opowiadane im przez Polaków, Litwinów, Rosjan i Karaimów — mieszkańców okolic Trok. Efektem ich badań stał się zbiór 10 artykułów poświęconych postrzeganiu codzienności przez mieszkańców tej części Wileńszczyzny. Autorzy w swoich rozważaniach podjęli też niezwykle ciekawy, lecz skomplikowany problem tożsamości narodowej swoich rozmówców.

Zbiór otwiera artykuł Justyny Mazarati i Katarzyny Wali. Autorki zawarły w nim rozważania o czterech rzeczach, o których podczas badań wspominali ich rozmówcy: ogórku trockim, *kybynie* (drożdżowych pierożkach nadziewanych mięsem, narodowym daniu karaimskim), piecu ruskim i tyglu. Badaczki skupiły się na zagadnieniu ich historyczno-kulturowego znaczenia w tamtejszej społeczności karaimskiej, odkrywając sferę „niewidzialnej codzienności” w postaci życia kulinarnego mieszkańców wsi. Wzbogaciły narracje rozmówców naukowymi interpretacjami antropologicznymi, co dodatkowo podnosi wartość ich artykułu. Ciekawym, aczkolwiek nie podkreślonym przez badaczki wnioskiem wysuwającym się po lekturze przytoczonych wypowiedzi jest przenikanie się wpływów kulturowych w postaci pewnych zachowań kulinarnych między różnymi społecznościami zamieszkującymi tą część



Litwy. W wyniku tych procesów doszło do zatarcia się granic między tym co typowo litewskie, polskie, rosyjskie, tatarskie lub karaimskie. W ten dość nietypowy sposób ukazany został efekt zjawiska wiązania się elementów pochodzących z różnych genetycznie kultur w jednorodną całość.

Kolejny artykuł poświęcony został fotografiom. Problem ten podjęły Ana Andrunelaite i Olga Skibińska. Autorki skupiły się na roli zdjęć w życiu mieszkańców wsi Jowaryszki, ukazując jednocześnie ciekawe tradycje kulturowe regionu, jak choćby śpiewy żałobne. Jednym z efektów ich badań, który został zaprezentowany w artykule, było poznanie historii trockich rodzin, nieraz dramatycznych, ukazujących burzliwe dzieje Wileńszczyzny w XX w. W artykule nie znalazło się niestety żadne z opisywanych zdjęć.

Trzeci artykuł autorstwa Ireny Capanowej i Magdaleny Pietrewicz poświęcony został rodzinie. Do podjęcia tego tematu zainspirowały autorki obrazy, będące w posiadaniu ich rozmówców od wielu lat, a nieraz od kilku pokoleń. Pierwsza historia to losy starszej Polki, pani Marii, widziane przez pryzmat mającego ponad sto lat obrazu Matki Boskiej Karmiącej. Przesycona jest dylematami, dotyczącymi zarówno wyboru drogi życiowej, jak i związanymi z kwestiami narodowościowymi, z którymi musieli zmierzyć się Polacy z biednych podwileńskich wsi w II poł. XX w. Problem tożsamości to także dominanta historii kolejnej bohaterki artykułu — pani Krystyny, której życie związane zostało z obrazem Matki Boskiej z Jezusem. Ciekawą formą uzupełnienia artykułu są rozważania, oparte na doświadczeniach jednej z autorek — Ireny Capanowej (s. 63), na co dzień obserwującej i uczestniczącej w procesach kształtowania się tożsamości litewskich Polaków z młodego pokolenia, jej rówieśników. Wydaje się jednak, że spostrzeżenia tego typu nie powinny zostać przekazane w formie generalizujących tez odnoszących się do całego pokolenia, tak jak to uczyniły autorki, a jedynie w formie wyraźnie podkreślonego odautorskiego komentarza. Warto byłoby też w tym miejscu uzupełnić artykuł o naukowe rozważania dotyczące poruszonego problemu.

Czwarty artykuł jest autorstwa Marceliny Jakimowicz i Marzeny Romanowskiej. Stanowi efekt pracy dwóch ciekawych osób: naukowca z Polski, który kolejny raz miał możliwość przeprowadzenia badań wśród mieszkańców Wileńszczyzny, jak również osoby, która swoje dzieciństwo spędziła w Starych Trokach, może więc uchodzić za przedstawicielkę badanego środowiska. W zasadzie artykuł to dwugłos poświęcony wierzeniom ludowym, przesądom, urokom i sposobom ich odczyniania. Wśród mieszkańców wsi objętych badaniem często dochodzi do mieszania elementów religii katolickiej i zwyczajów ludowych, mających swoje korzenie nierzadko w wierzeniach pogańskich. Badaczki w ciekawy sposób zaprezentowały ten problem, ukazując niesamowity koloryt religijno-kulturowy Wileńszczyzny.

Całkowicie inne zagadnienia podjęły w swoim artykule cztery autorki: Agnieszka Lobačevska, Barbara Sudenis, Anna Waz i Agnieszka Wieszaczewska. Punktem wyjścia dla ich rozmów stały się polskie książki. Głównym tematem rozważań stały się sprawy języka i tożsamości, obecnie bardzo istotne dla polskiej mniejszości na Litwie. Czytanie książek zdaniem ich rozmówców, zasadniczo emerytowanych polonistek z miejscowych szkół, było w przeszłości jedną z głównych dróg uczenia się

języka polskiego. Obecnie sytuacja ta się zmienia, a rodzice często posyłają swoje dzieci nie do polskich, a do litewskich szkół, upatrując w tych działaniach lepszej szansy na start w dorosłe życie w przyszłości. Wszystkie te historie i dylematy zostały przez badaczki wzbogacone o krótkie, ale interesujące i trafnie dobrane rozważania natury teoretycznej, umożliwiające czytelnikowi lepsze zrozumienie znaczenia poszczególnych przedmiotów lub przywoływanych w artykule sytuacji.

Monika Romanowska i Katarzyna Majbroda w kolejnym artykule zaprezentowały obecnie zanikające, a w przeszłości odgrywające dużą rolę w społeczności Trok, rzemiosło haftowania. Artykuł jest próbą naukowego ujęcia tego problemu poprzez przybliżenie historii, głównie tej przedwojennej, 3 kobiet z różnych, ale równocześnie bardzo sobie bliskich narodów. Cechują go drobiazgowo przytoczone rozmowy, ukazujące nie tylko historie życia bohaterek, ale także ich poglądy, co w dużym stopniu wzbogaca artykuł. Niestety, lekturę utrudnia pewna niekonsekwencja przy przytaczaniu wypowiedzi bohaterek artykułu: raz wydzielonych w formie osobnego akapitu, innym razem wplecionych w treść odautorskich komentarzy, co czasami sprawia problemy przy rozdzieleniu poglądów osób badanych i badających. Należy podkreślić, że dobre teoretyczne podbudowanie rozważań, charakteryzujące ten artykuł, jest wstępem do naukowego opisanego podjętego w nim problemu.

Siódmy artykuł autorstwa Edmunda Likšy i Błażeja Recha odbiega w swojej konstrukcji od poprzednich. Jest próbą porównania sytuacji ludności Wileńszczyzny i Dolnego Śląska. Inspiracją dla podjęcia tego tematu stał się kieliszek jednej z mieszkańek wsi spod Trok, będący jedyną pamiątką po jej babci. Zasadnicze rozważania oparte zostały na eseju autorstwa E. Likšy, opowiadającego o ważnych wydarzeniach z dziejów jego rodziny sprzed ponad 60 lat. Te rodzinne wspomnienia uzupełnione zostały o próbę antropologicznej ich analizy przez B. Recha. Wnioski wyciągnięte przez autorów mają charakter wykraczających poza problematykę książki generalizujących ocen zjawiska kształtowania tożsamości w kontekście przemieszczania się lub pozostawania w jednym miejscu.

Artykuł Piotra Oleksego i Karola Romaševskiego poświęcony został trockim Karaimom. Rozpoczyna go krótkie wprowadzenie do etnogenezy tego ludu. Punktem wyjścia do właściwych rozważań badaczy stał się kształt tradycyjnego domu karaimskiego w Trokach. Autorzy w trakcie rozmów z przedstawicielami niewielkiej, bo liczącej zaledwie sześćdziesiąt pięć osób, grupy trockich Karaimów dowiedzieli się, że wiele elementów architektury budynków mieszkalnych w Trokach, uchodzących w powszechnym mniemaniu za charakterystyczne dla domów karaimskich, to tak naprawdę efekt „wynajdywania tradycji” dla celów turystycznych w czasach radzieckich. Informacji takiej udzielili im sami mieszkańcy Trok. Stała się podstawą bardzo interesujących rozważań nad atrakcyjnością turystyczną tej miejscowości i okolic, a także nad tożsamością narodową samych Karaimów. Autorzy doszli na tej podstawie do ciekawego wniosku, że historia tej mniejszości jest wykorzystywana jako ważny element jeszcze bardziej urozmaiacający i tak już wielokulturową Wileńszczyznę do zaintrygowania i przyciągnięcia turystów.

W ostatnim artykule Mateusz Sikora i Jarosław Vabalas zaprezentowali problem, który przewija się we wszystkich rozważaniach. Jest nim wzajemna relacja

przedstawiciele poszczególnych narodów zamieszkujących Wileńszczyznę, w tym przede wszystkim Polaków i Litwinów. Przedmiotami, które zainspirowały badaczy do podjęcia tego tematu, stały się stoły, przy których badacze spędzili wiele godzin rozmawiając z mieszkańcami Trok i okolicznych wsi. Jednym z tematów pojawiających się w trakcie tych rozmów były kwestie współżycia Polaków i Litwinów. Autorzy przywołali i przeanalizowali wiele ciekawych wypowiedzi ich rozmówców. Poruszyli sprawę języka, skupiając się zwłaszcza na języku prostym, będącym interdialektem w dużej części Wileńszczyzny. Warto dodać, że w tej części pracy pojawiły się krótkie opisy dotyczące sposobów przeprowadzania badań w ramach projektu, co stanowi ciekawe uzupełnienie rozważań.

Ostatnim elementem artykułu stała się kwestia narodowości mieszkańców tej krainy, w tym zwłaszcza osób podających się za Polaków. W tym miejscu autorzy poruszyli bardzo trudny temat. Starali się zaprezentować go na przykładzie mieszkańców Jowaryszek i ich deklaracji, wyciągając przy tym bardziej generalizujące wnioski. Wprawdzie podkreślili, że ich celem nie było udzielenie jednoznacznej odpowiedzi na pytania związane z problemami tożsamościowymi, jednak takie tezy w przypadku mieszkańców opisywanej przez nich wsi zostały postawione. W związku z ograniczeniem objętości artykułu badacze posunęli się do pewnych uproszczeń, co niestety nie zaowocowało wyciągnięciem konstruktywnych dla przedstawionego problemu wniosków. Najbardziej widoczne jest to na zaprezentowanym w artykule przykładzie Jana, Polaka z Jowaryszek, i jego życiowych wyborów. To starszy mężczyzna, który po II wojnie światowej w okresie masowych przesiedleń ludności postanowił pozostać na Litwie, mimo, że jednoznacznie uważa się za Polaka. Zdaniem autorów mamy tu do czynienia ze sprzecznością, ponieważ Polska, jako deklarowana przez ich rozmówcę ojczyzna, jest dla niego tak naprawdę krajem obcym, a prawdziwą ojczyzną jest w rzeczywistości Litwa (s. 179). Badacze nie doceniają w tym miejscu problemu tzw. „małej ojczyzny”, a także zagadnień odnoszących się do przywiązania takich osób do ziemi, jak również istniejących w ich przekonaniu zobowiązań wobec ojcowizny. Zobowiązań, dodajmy, które były silniejsze niż politycznie uwarunkowane i nieuwzględniające sytuacji etnicznej poszczególnych ziem zmiany granic państwowych po II wojnie światowej. Autorzy stwierdzają jedynie lakonicznie, że niektórzy mieszkańcy Wileńszczyzny widzą w tej krainie „osobny podmiot terytorialny”.

W swoim dyskursie młodzi badacze opierają się też na jednostronnej tezie, jakoby Polacy na Litwie byli w całości spolonizowani przez szlachtę (litewską, która wcześniej przyjęła kulturę polską) i Kościół (s. 177). Pomijają przy tym kwestie migracji ludności polskiej, zwłaszcza z terenów Mazowsza, na rzadko zaludnione ziemie litewskie. Odwołanie się do Michała Romera i tylko krótkie przywołanie poglądów Rimantasa Miknysa i Juliusza Bardacha nie wyczerpują bogactwa poglądów historyków, tak litewskich, jak i polskich, którzy w swoich pracach podjęli się rozważań w tym temacie. Tą skrótowość należy usprawiedliwić ograniczeniami wynikającymi z długości artykułu narzuconej im z góry. Niestety czytelnika niezbyt zorientowanego w podjętym w tej pracy temacie (a taki wydaje się być głównym adresatem tej książki) takie ukazanie dziejów polskiej mniejszości na Litwie może wprowadzać w błąd. Wydaje się, że właściwe byłoby rozwinięcie tego zagadnienia

w formie osobnego artykułu, który zaprezentowałby podjęty przez autorów temat na szerszym tle problemowym.

*Wileńszczyzna. Przedmioty — opowieści — refleksje* stanowi kontynuację badań w zakresie etnografii Wileńszczyzny, dość często podejmowaną w polskiej nauce. Wnosi jednak do nich pewną nowość. Celowo ignoruje istniejące w tym regionie podziały narodowościowe, poprzez pryzmat wielu różnorodnych punktów spojrzenia ukazując wielobarwność kulturową, światopoglądową i narodowościową regionu. Autorzy podkreślają pewną zbieżność patrzenia na świat przez jego mieszkańców, pokazaną na przykładzie Polaków, Litwinów, Rosjan i Karaimów zamieszkujących okolice Trok. Opowiadają o tym poprzez ich historie, skupione niejako w pojedynczych przedmiotach, z różnych powodów odgrywających ważną rolę w życiu ich rozmówców. Interesujące jest zwłaszcza zaprezentowane w książce spojrzenie przedstawicieli młodego pokolenia, żyjącego w świecie nowoczesnych technologii i nieustannych zmian otaczającego nas świata, na poglądy osób starszych, przywiązanych do wielowiekowych nieraz tradycji, którzy stanowią dominującą grupę bohaterów poszczególnych artykułów. Czytelnik biorąc tę książkę do rąk jest wciągany w kolorowy świat wielokulturowej wileńskiej prowincji, w świat dziś już niemal egzotyczny, często zapomniany, lecz mający w sobie niesamowitą moc przyciągania. Wartość pracy podnoszą streszczenia w językach polskim, litewskim i angielskim, zamieszczone na końcu każdego artykułu. Drobne potknięcia językowe, a także warsztatowe części autorów, nie ujmują wartości tej pracy, która warta jest polecenia każdemu, kto chciałby bliżej poznać i lepiej zrozumieć skomplikowane losy mieszkańców Wileńszczyzny. Można żywić nadzieję, że książka zostanie przetłumaczona na język litewski, a być może także na rosyjski, i trafi do szerszego grona odbiorców, zwłaszcza na Litwie, ukazując im skomplikowany, bliski, a jednocześnie dla wielu z nas tak odległy wielokulturowy świat Wileńszczyzny.

Stawomir Józefiak

Jan Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z formą*, Universitas, Kraków 2011, 584 ss.

*Wy tłumaczyć jakieś zjawisko znaczy tyle, co opisać jego historię.*  
H. Brandt

Czy *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą* to książka historyczna? Jan Sowa tak opisał istotę swojej pracy:

Paradoksalnie więc, chociaż przedmiotem mojego zainteresowania jest tu nowoczesność, o teraźniejszości będzie w tej książce bardzo niewiele. Myliłaby się jednak

ta [osoba — E.F.], która uznałaby, że trzyma w ręku książkę historyczną. To w całości tylko i wyłącznie książka o współczesności oraz nowoczesności, które ani na chwilę nie znikają z horyzontu. Nie jest to jednak książka o współczesności i nowoczesności jako tym-co-się-właśnie-wydarza, ale o ich genealogii. I ich scenie pierwotnej takiej, jaką zobaczyć można z ostatnich rzędów środkowo-europejskich peryferii<sup>1</sup>.

Autor — socjolog, dysponujący również warsztatem psychologicznym, filozoficznym i filologicznym, sięgnął do „koszyka narzędzi”<sup>2</sup> i wyciągnął z niego historię — wraz z całą jej bogatą ofertą strategii metodologicznych. Przywołuje to na myśl „skrzynkę z narzędziami” Michaela Foucault. Praca nabrała przez to, jak przyznaje Jan Sowa, „patchworkowego”, „kolażowego” charakteru<sup>3</sup>. Autor łączy nie tylko metody przyjmowane przez badaczy reprezentujących poszczególne szkoły historyczne, ale również przez różne dyscypliny naukowe, dające się zaklasyfikować nie tylko jako humanistyczne. Książka Jana Sowy trudno poddaje się jakiegokolwiek klasyfikacji. Autor postuluje podejście „unidyscyplinarne”, czy też „postdyscyplinarne” — nie są to określenia przypadkowe i tożsame z przymiotnikiem „interdyscyplinarne”<sup>4</sup>.

Jan Sowa porusza się wśród różnych koncepcji niezwykle swobodnie, niekiedy wręcz nonszalancko. Ale nie uznaję tego za wadę. Nie określiłabym go jako żonglującego kuglarza, choć zdaje się, że praca jest obliczona po części na efekt. Z pewnością osobowość naukowa autora czyni lekturę niezwykle ciekawą. I tak oto Jan Sowa nie tylko stosuje wybrane metody w praktyce, ale odnosi się również do ich teoretycznego zaplecza, co niewątpliwie jest atutem pracy. Prezentuje i komentuje teorie przy pomocy których poddaje historię reinterpretacji celem opisanego współczesnego „habitusu” (według określenia P. Bourdieu) Polski. Narracja złożona jest z „teoretyczno-metodologicznych dygresji przybliżających narzędzia teoretyczne” i możliwości ich zastosowania w narracyjnej praktyce<sup>5</sup>.

Autor odwołuje się do „socjologizujących historyków” — Witolda Kuli czy też Mariana Małowista<sup>6</sup>. Sam zaś staje się socjologiem historyzującym:

Nie chodzi mi więc o poszukiwanie nowych danych, które zrewidują obraz jakiejś epoki historycznej, ale rekonfigurację i reinterpretację faktów, procesów i zjawisk już opisanych w historiografii. To jedna z dwóch metod przyjętych i stosowanych w socjologii historycznej.<sup>7</sup>

<sup>1</sup> J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z formą*, Universitas, Kraków 2011, s. 42.

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 29.

<sup>3</sup> <http://www.youtube.com/watch?v=HulLIHpgtHg> dostęp: 16.04.2013 r.

<sup>4</sup> „W związku z tym staram się też konsekwentnie unikać określenia »interdyscyplinarne«, które pod płaszczykiem metodologicznego postępu kryje *de facto* reakcyjną obronę istniejących dyscyplin. Nie mogłaby istnieć interdyscyplinarność, gdyby równolegle nie istniały odrębne dyscypliny” (*ibidem*, s. 30).

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 28.

<sup>6</sup> *Ibidem*, s. 49.

<sup>7</sup> *Ibidem*, s. 50.

Socjolog przyjmuje „perspektywę Interpretatora”, co autor uzasadnił brakiem konieczności poszukiwania nowych faktów, na podstawie których konstruuje się teorię i co stanowi istotę drugiej strategii przyjmowanej w socjologii historycznej<sup>8</sup>. Przepuszcza fakty ustalone przez historyków przez różne filtry. Jan Sowa zgadza się z Charlsem Tilly’em, iż to, co ustala się pisząc historię, warunkowane jest przez przyjęte metody. Jakże wybrał z koszyka autor *Fantomowego ciała króla*?

Jan Sowa sięgnął po perspektywę długiego trwania, czego nie odnotował wcześniej w socjologii polskiej i co ma stanowić odpowiedź na zjawiska prezentyzmu („pop weberyzmu”) i płytkiego historycyzmu obecnych w niej. Pozwoliło mu to, na wyprowadzenie koncepcji trzech braków wokół których budowana była podmiotowość Polski: braku dziedzictwa rzymskiego, braku nowożytnej organizacji społecznej i braku państwowości<sup>9</sup> oraz zmianę statusu pewnych zjawisk z przyczyn na status bycia tylko przejawem. Długie trwanie wiąże się również z dwoma pozostałymi „strategiami eksplikacyjnymi: zacofaniem wynikającym z zależności oraz odrzucenia perspektywy państwa narodowego na rzecz szerszych analiz systemowych”, stąd m.in. kategorie centrum-peryferie i teoria systemów-światów przyjęte w narracji w rozdziale pierwszym i drugim stanowiącymi całość<sup>10</sup>. Zaś wpisanie Polski w region Europy Środkowo-Wschodniej określić można jako pewną formę „mikrohistorii”. Głównym motywem, stale powracającym w książce, jest status, a właściwie „habitus” obszaru.

Kolejnym narzędziem, którym posługuje się Jan Sowa jest teologia polityczna. Jego zastosowanie umożliwiło sformułowanie tytułowej tezy o Polsce lat 1572–1795 jako fantomowym ciele króla rozwiniętej w trzecim rozdziale. Autor przyjął 1572 r. jako datę wyznaczającą kres polskiej państwowości. Połączenie tej metody z psychoanalizą i kategoriami: „Realnego”, „Wyobrazonego” i „Symbolicznego” dało wyjątkowo interesujące rezultaty w zakresie periodyzacji dziejów Polski:

Rozbiory z lat 1772–1795 to tylko Symboliczne potwierdzenie czegoś, co na poziomie Realnym stało się już faktem dokładnie dwa wieki wcześniej: nieistnienia państwa polskiego. I Rzeczpospolita w latach 1572–1795 to fantomowe ciało króla. [...] śmierć ostatniego dziedzicznego monarchy w historii polskiego państwa była też śmiercią tego państwa jako takiego. Ciało fizyczne króla umarło śmiercią naturalną, a ciało wspólnotowe zostało dorżnięte przez szlachtę, która na jego trupie urządziła sobie karnawał zwany demokracją szlachecką. Ponieważ ciało było wielkie i potężne, gniło przez długi czas. Trzeba było dwustu lat, aby jego Realna śmierć przebiła się na poziomie Symbolicznym, czyli mówiąc językiem Alaina Badiou, aby ruch historii

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 51.

<sup>9</sup> Można dodać, iż poszczególne braki wynikały z siebie. Brak dziedzictwa rzymskiego pociągnął za sobą „nikłą penetrację Europy Środkowo-Wschodniej przez struktury i instytucje klasycznego feudalizmu”. Skutkiem braku feudalizmu był brak kapitalizmu, który połączony z brakiem absolutyzmu doprowadził do braku nowożytnej organizacji społecznej. Brak władzy królewskiej finalnie doprowadził do braku państwowości (*ibidem*, s. 11, 35, 37, 81, 84, 100).

<sup>10</sup> Egzemplifikacją zastosowania metod eksplikacyjnych w praktyce są — według Jana Sowy — badania Sycylii Roberta Putmana dodatkowo powiązane z aspektem kolonialnym (*ibidem*, s. 52-54).

jako realnego procesu mógł wyrazić się w historii jako symbolicznej narracji i w ludzkiej świadomości jako wyobrażonej całości świata.<sup>11</sup>

Psychoanaliza, a zwłaszcza kategoria fantazmatu posłużyły Janowi Sowie do analizy sarmatyzmu i redefinicji tego zjawiska (jak i demokracji szlacheckiej) ukierunkowanej na wykazanie ich znaczenia dla czasów historycznych oraz teraźniejszych. W dwóch kolejnych rozdziałach autor dokonał psychoanalitycznej interpretacji dokonania szlachty i odczytania na nowo rozbiorów Polski jako jednego z trzech „spektakularnych wydarzeń, które złożyło się na nowoczesny przełom i tryumf nowoczesności”<sup>12</sup>. Rozdział ostatni, jak i zakończenie są uzupełnieniem wcześniej pojawiającej się w pracy koncepcji Polski jako kolonizatora i kolonii.

Czy książkę można podzielić na części przyjmując za kryterium stosowaną przez autora metodę? Choć można zauważyć, że gdy w poszczególnych częściach określone metody pełnią rolę rozstrzygającą<sup>13</sup>, podział pracy według kryterium stosowanego narzędzia nie jest uzasadniony. Cechą narracji Jana Sowy jest jej płynność i swoboda w wyrażaniu myśli, dzięki czemu rozdziały przenikają się<sup>14</sup>. Jednocześnie we „Wprowadzeniu” autor zaproponował czytelnikowi przewodnik po jego książce — umożliwiając mu wybór interesujących go zagadnień i fragmentaryczną analizę.

Poza tym, koszyk Jana Sowy jest stale otwarty — bierze do ręki pewne narzędzia, by potem na chwilę je odłożyć i zastosować inne, a następnie jeszcze trochę przy ich pomocy popracować. Główne tezy, myśli, przewijają się przez całą książkę. Podobnie jak przyjęte metody. „Patchworkowy” charakter *Fantomowego ciała króla* ujawnia się w ich łączeniu. Autor udowadnia, że możliwy jest kolaż różnych teorii naukowych w badaniu określonego problemu. Można badać go, przyjmując jedną z wielu koncepcji. Ale można je wiązać i odkryć możliwość ich wzajemnego uzupełniania się:

Lukę w teoriach zależności, jaką jest niedostateczne uwzględnienie procesów o niegospodarczym charakterze, uzupełnia teoria postkolonialna. Mariaż tych dwóch podejść teoretycznych tworzy wyjątkowo udaną kombinację, ponieważ wypełniają one nawzajem swoje braki.<sup>15</sup>

Dokonując przeglądu metod przyjętych przez Jana Sowę celowo pominęłam nazwiska badaczy, z którymi mogą być kojarzone. Kwestię czerpania z warsztatu określonych teoretyków, ale i praktyków pragnęłam omówić osobno. Autor ma swoich

<sup>11</sup> *Ibidem*, s. 239-240.

<sup>12</sup> *Ibidem*, s. 421, 424.

<sup>13</sup> I część — teoria światów i zależności (rozdział 1, 2). II część — teologia polityczna (rozdział 3 i 4). III część — psychoanaliza (rozdział 5). IV część — postkolonializm (rozdział 6, zakończenie).

<sup>14</sup> Doskonałym przykład stanowi rozdział trzeci, który zaczyna się od „Ostatniej wycieczki do królestwa ekonomii, w czasie której napotkamy jego nieprzekraczalne granice”. To tak naprawdę jest to kontynuacja rozdziału pierwszego i drugiego, dalsze prowadzenie myśli w nich podjętej przed przejściem do kolejnej.

<sup>15</sup> *Ibidem*, s. 433.

mistrzów. Immanuel Wallerstein na kartach książki doczekał się wręcz pomnika. Autor inspirował się Fernandem Braudem, jak również dokonaniem m.in. Jacquesa Lacana (bardziej niż Zygmunta Freuda), Ernesto Laclou czy Franza Leforta. Sięga do tekstu Gayatri Ch. Spivak czy Slavoję Žižka. Oczywiście Jan Sowa nie podchodzi bezkrytycznie do światowych autorytetów i wdaje się z nimi w polemikę wynikającą m.in. z potrzeby dostosowania proponowanych przez nich metod do specyfiki polskiej. Niemniej przy całym podziwie jakim obdarza historyków reprezentujących polską szkołę historii gospodarczej (Jerzego Topolskiego, Mariana Małowista, Witolda Kulę, Andrzeja Wyczańskiego, Jana Rutkowskiego, Antoniego Mączaka, Jacka Kochanowicza) podsumowanie jej osiągnięć zastanawia i skłania do zadania pytania czy u autora nie włączył się tzw. kompleks wobec Zachodu również omawiany w książce:

Gdy jednak porównamy ich całościowe dokonania, w oczy rzuca się jedna kwestia: uczeni zachodni mają przewagę nad Polakami pod względem wyrafinowania aparatury teoretycznej [...]. Są w niej biegli, a to też teoria wybitna, więc osiągają dzięki temu wartościowe rezultaty, pod względem konceptualnym nie posuwają jednak wiedzy do przodu. Nie tworzą pojęć.<sup>16</sup>

W bibliografii nie odnajdziemy również odwołań do klasycznych dzieł polskiej historiografii, brakuje choćby śladów myśli Józefa Szujskiego, choć koncepcja „samozawinionego” upadku Rzeczypospolitej jest jedną z głównych przyjętych i stworzonych przez Jana Sowę. Ale z pewnością zaletą jego książki jest „przywrócenie” innych badaczy. Główna teza pracy opiera się na doktrynie dwóch ciał króla Ernsta Kantorowicza — wybitnego mediewisty, którego dorobek w ten sposób został twórczo wykorzystany<sup>17</sup>. Autor sięgnął również po Karola Marksa. Stanowi to element dokonującego się od jakiegoś czasu w Polsce renesansu myśli Marksa (nurt ten reprezentuje środowisko „Krytyki Politycznej”, z którą związany był Jan Sowa). Odnotowane przez autora w polskiej praktyce naukowej pomijanie marksistowskiego kontekstu ocenił jako „wyraz ideologicznego zaciętrzewienia, dla którego nie powinno być miejsca w rzeczowej dyskusji”<sup>18</sup>. Jeśli już w jakiś sposób można podzielić książkę, to na rozdziały poświęcone „bazie” i „nadbudowie”<sup>19</sup>. Jan Sowa odniósł się do miejsca myśli Marksa we współczesnej nauce:

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 102.

<sup>17</sup> E. Kantorowicz, *Dwa ciała króla. Studium ze średniowiecznej teologii politycznej*, przeł. M. Michalski, A. Krawiec, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007.

<sup>18</sup> *Ibidem*, s. 447-448.

<sup>19</sup> W wywiadzie dla „Praktyki Teoretycznej” Jan Sowa odniósł się do dwubiegunowej dyskusji toczącej się wokół jego pracy. Wyjaśnił charakter książki i miejsce myśli Marksa w jej konstrukcji: „Jeśli chodzi o moją książkę, to ona na pewno jest marksistowska w tym sensie, że trzyma się jednak podstawowych założeń materializmu (niekoniecznie jednak dialektycznego i w tym sensie nie jest marksistowska). Porządek analizy nie przypadkiem jest taki, że wszystko zaczyna się od eksploracji tego, co działo się we wczesnej nowoczesności w sferze gospodarczej”. Jan Sowa w tym samym wywiadzie skomentował również próby klasyfikacji *Fantomowego Ciała Króla* jako książki prawniczej. Oba stanowiska wzajemnie się wykluczają



Cokolwiek uważaliby polscy adepci i aspiranci teorii (post)kolonialnej, i na ile zgodziliby się z powyższą diagnozą, marksizm pozostaje jednym z nieusuwalnych horyzontów myśli społecznej, podobnie jak dziedzictwo innych wielkich klasyków — Webera, Hegla czy Freuda. Historia nie skończyła się w 1989 roku, jak chciał Fukuyama, ale wraz z postępującą globalizacją neoliberalnego kapitalizmu i jego kolejnymi kryzysami zyskuje nową świeżość i adekwatność. Egzorcyzmowanie Marksa nie ma żadnego sensu.<sup>20</sup>

W *Fantomowym ciele króla* pojawili się również Stanisław Brzozowski i Witold Gombrowicz, który w cytacie przywołanym przez Jana Sowę oznajmia, że „atakuję formę polską, bo to jest jego forma”<sup>21</sup>. Słowo „forma” jest właściwie najważniejszym dla książki. Obserwujemy zmagania z formą na różnych płaszczyznach. Daje to możliwość kilku interpretacji tytułu pracy. Na pewne interpretacje wskazuje sam autor. Tytuł jest fascynującym elementem tej książki. Z jednej strony podtytuł *Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą* nawiązuje do tezy o „postkolonialnym syndromie peryferyjnym”, który przejawia się właśnie w „zmaganiach z formą”. Autor tak to komentuje:

Rozumiem przez to trudność, czy też nawet niemożliwość, takiego ukształtowania najogólniejszych ram życia społecznego, które pozwoliłoby z jednej strony dostosować się do wymagań epoki i dogonić modernizacyjny peleton (jego czołówkę stanowią dziś wysokorozwinięte kraje globalnej Północy), z drugiej zaś w jaki sposób „wyrzucić siebie”. Nowoczesność widziana z peryferii wydaje się z jednej strony niezwykle wartościowa i atrakcyjna, z drugiej jednak cokolwiek obca.<sup>22</sup>

Z drugiej strony autor nawiązuje do Gombrowiczowskiego stosunku do Polski, zdaje się, iż bliskiemu również Janowi Sowie. Polska (jako region Europy Środkowo-Wschodniej) nie należy ani do Wschodu ani do Zachodu. Budując swoją tożsamość i zmierzając do nowoczesności na drodze procesu, który przeszedł Jan Sowa. Szuka punktu odniesienia, ale również analizuje swoje możliwości. Autor idąc tropem Gombrowicza czy Brzozowskiego uznaje, że Polska nie ma alternatywnych propozycji dla wzorów zachodnich, w które jest tak zapatrzona, a cała jej kultura jest zapożyczona. Zatem zmaganie się z formą, to również ustosunkowanie się do zbadanego „habitusu” na obecnym etapie ukształtowania. Ale najciekawszy trop interpretacyjny tytułu wiąże się z metodą postkolonialną, której jak to ma w zwyczaju,

---

i ilustrują nie zrozumienie dzieła oraz problemy z interpretacją założeń przyjętych przez autora, choć te są czytelne. Krystian Szadkowski, *Wielki Imy istnieje — to my nim jesteśmy*, „Praktyka Teoretyczna”, nr 5, lipiec 2012, <http://www.praktykateoretyczna.pl/index.php/kategorie/numery/praktyka-teoretyczna-nr-52012/> (dostęp: 16.04.2013 r.)

<sup>20</sup> *Ibidem*, s. 54.

<sup>21</sup> *Ibidem*, s. 495

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. 31.

genezę i stan Jan Sowa omówił przed prezentacją możliwości jej zastosowania na gruncie polskim.

Autor dostrzegł, że studia postkolonialne omijają Europę Środkowo-Wschodnią. Co więcej, polscy badacze nie sięgają po tę metodę, a jeśli już to prace są nieliczne i mają charakter literaturoznawczy czy też kulturoznawczy, a ich bibliografia ogranicza się do „kanonicznych” postkolonialistów i pomija innych, wartych uwagi. Jan Sowa wyróżnił i omówił cztery czynniki hamujące rozwój „postkolonializmu” w polskiej nauce. Są to jego zdaniem dominacja pewnych schematów pojęciowych w polskiej tradycji intelektualnej utrudniająca przejście aparatu pojęciowego właściwego dla studiów postkolonialnych (niektórym z trudem przychodzi nazwanie polskiej polityki wobec Kresów projektem kolonialnym, wolimy „budować fantazmaty umacniające nasze dobre samopoczucie narodowe”) czy też „egzorcyzmowanie Marska”<sup>23</sup>. Zatem polskie studia postkolonialne są peryferyjne. Zmagamy się z tą formą. A ma ona znaczenie nie tylko naukowe.

Ciężko jest ją przyjąć i rozwinąć jako strategię badawczą, ale również (a może przede wszystkim) jako sposób narracji o przeszłości, werbalizację pamięci. Ale jak udowadnia Jan Sowa jest ona doskonałym narzędziem poznania współczesnej Polski, co więcej elementem niezbędnym do poprawienia relacji z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami, formą zbiorowej „psychoterapii” — opracowanej przez Freuda. Celem uniknięcia powtórzeń trzeba świadomie przypomnieć sobie przeszłość:

Brak rozpoznania własnej historii jako historii kolonialno-imperialnej powoduje, że reakcje byłych *subalterns* wydają się wyrazem wrogości wobec polskości jako takiej, podczas gdy stanowią tylko echo dawnego, kolonialnego funkcjonowania polskości jako kategorii opresywnej.<sup>24</sup>

Jan Sowa oprócz diagnozy sugeruje rozwiązanie. Zmagamy się ze studiami postkolonialnymi (a raczej umieszczeniu w ich ramach polskiej historii) — jako formą, a przez to trudno ukształtować polski „habitus narodowy” i zakończyć drogę ku nowoczesności — również jako formie. Kolejną receptą ma być myśl Terry’ego Eageltona i Georga W. Hegla — aby przełamać peryferyjny syndrom postkolonialny w „ruchu, który go jednocześnie utrzymuje”<sup>25</sup>.

Trudno nie wspomnieć o jeszcze jednym zagadnieniu pojawiającym się w książce, zwłaszcza, że ma ono charakter kłamry dla całości rozważań. Oprócz tego, że Jan Sowa analizuje polską historię w ramach długiego trwania i studiów postkolonialnych, a sarmatyzm rozbiera na czynniki pierwsze przy pomocy metody psychoanalitycznej, to szuka również Innego dla nas. I udało się go znaleźć:

Dlatego badanie własnej, partykularnej historii to jednocześnie spotkanie z tym, co uniwersalne. Wielki Inny istnieje — to my nim jesteśmy.<sup>26</sup>

---

<sup>23</sup> *Ibidem*, s. 440-448.

<sup>24</sup> *Ibidem*, s. 524.

<sup>25</sup> *Ibidem*, s. 533.

<sup>26</sup> *Ibidem*, s. 535

Krótkie, a jednocześnie wymowne spuentowanie pracy tak obszernej jest wręcz sztuką. Czytelnik, który szukał Innego razem z Janem Sową został nagrodzony przewrotną refleksją, która będzie mu z pewnością towarzyszyć jeszcze długo po odłożeniu książki.

Złośliwy przyznałby status Innego Janowi Sowie. Jego praca jest w istocie inna. Niewątpliwie odważna — zwłaszcza w zastosowaniu metody postkolonialnej czy dekonstruowaniu pewnych mitów trwale zakorzenionych w myśleniu o przeszłości Polski. Jej kolażowy charakter wyobrażam sobie, może drażnić „okopanych za Linią Maginota” historyków czy socjologów nie akceptujących takiego eklektyzmu i mogących ironicznie odnosić się do różnorodności przyjętych koncepcji. Niewątpliwie jednak praca pokazuje kierunek w jakim zmierza współczesna humanistyka i m.in. dlatego warto tę książkę przeczytać. Choć niekiedy trudno wyzbyć się wrażenia, że Jan Sowa proponuje coś, co właściwie już było, ale podaje to jedynie w innym „dressingu”. „Przede wszystkim nie powinno ulegać wątpliwości, że to co działo się we wczesnej nowoczesności z polską gospodarką, zdeterminowało to, co działo się później z jej... gospodarką” — przysłowiowe przekonanie o odkryciu Ameryki przez autora ma pewien urok. Ale oczywiście inaczej patrzy na nią historyk, który metodę długiego trwania zna, a inaczej socjolog. To książka fascynująca, inspirująca i napisana barwnym językiem — z imponującą wręcz wcześniej już podkreśloną swobodą. Ma w sobie pewną świeżość. Ale jednocześnie trzeba przyznać, że książka jest nierówna. Niekiedy zmianę tempa narracji można uzasadnić wpływem dobranego narzędzia. Zastanawia mnie czy Jan Sowa ma już pomysł na następną książkę i czy wróci np. do zagadnień postkolonialnych, ale przede wszystkim czy moje wrażenia, że mógłby się podpisać pod cytowanymi przez niego słowami Witolda Gombrowicza: „jestem okropnie polski i okropnie przeciw Polsce zbuntowany”<sup>27</sup> są słuszne.

*Estera Flieger*

Scott Lash, Celia Lury, *Globalny przemysł kulturowy. Medializacja rzeczy*, przeł. J. Marmurek i R. Mitoraj, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2011, 310 ss.

Książka autorek z University of London, Scotta Lasha i Celi Lury, jest próbą uchwycenia w ramy pojęciowe dynamicznej i migotliwej współczesnej rzeczywistości kulturowej, a w szczególności dwóch zachodzących w jej ramach procesów: medializacji rzeczy oraz urzeczowienia mediów. Punktem wyjścia autorów jest krytyczne odniesienie się do diagnozy Maxa Horkheimera i Theodora Adorna dotyczącej uprzemysłowienia kultury. Autorzy poddają krytyce analizy przeprowadzone w *Dialektyce*

---

<sup>27</sup> *Ibidem*, s. 19.

*Oświecenia*, nie chodzi im jednak o to, że były one błędne w momencie ich powstania, lecz raczej o to, że dziś są już dalece nieaktualne. „Lokalny” przemysł kulturowy opisywany przez frankfurczyków i współczesny globalny przemysł kulturowy dzielić ma bowiem dystans o charakterze nie tyle ilościowym, co jakościowym.

Przejście od lokalnego do globalnego przemysłu kulturowego opisywany jest tutaj poprzez zdiagnozowanie szeregu przesunięć: od tożsamości do różnicy, od towaru do marki, od reprezentacji do rzeczy, od Symbolicznego do Realnego. Wydaje się, iż najbardziej zasadniczym spośród zdiagnozowanych w książce przesunięć jest drugie z wymienionych. Tożsamość towarów zasadza się, zdaniem Lasha i Lury, na podobieństwie do innych towarów, podczas gdy markę definiuje to, co odróżnia ją od innych marek. Towar jest efektem procesu produkcyjnego, natomiast marka jest środkiem produkcji. Towar jest obiektem zdeterminowanym przez zewnętrzne czynniki, biernym, mechaniczystycznie uwarunkowanym. Marka tymczasem wymyka się intencjom wytwórcy, posiada swoją własną dynamikę, „żyje własnym życiem”, wikłając się w rozmaite relacje i tym samym podlegając kolejnym redefinicjom. Marki są w rozumieniu autorek bytami wirtualnymi, „potencjałami, które wprawiają w ruch następstwo (serię przepływów) rzeczywistych form” i w tym sensie są „czymś bez wątpienia *z y w y m*”, „[n]ie są *m a r t w ą* pracą, jak towar w rozumieniu Marksa”<sup>1</sup> — stanowią raczej czynnik sprawczy, niż rezultat sprawczości.

Ustalenia dotyczące różnicy między marką a towarem stanowią jedną z ilustracji głębokiej odmienności realiów opisywanych przez Adorna i Horkheimera tych istniejących współcześnie. Autorzy słusznie dochodzą do wniosku, że owe głębokie różnice wymagają stworzenia nowej metodologii badawczej, pozwalającej na adekwatne uchwycenie cech dystynktywnych badanych zjawisk oraz zachodzących pomiędzy nimi relacji. Warto zwrócić uwagę, że budując ową metodologię, Lash i Lury obficie czerpali z różnorodnych źródeł takich jak antropologia kultury materialnej (Arjun Appadurai), socjologia nauki i technologii (Bruno Latour), socjologia gospodarki (Karin Knorr Cetina), a także zaciągając dług m.in. u Pierre’a Bourdieu, Gillesa Deleuze’a, Jeana Baudrillarda czy Paula Virilia. Również w ramach poszczególnych rozdziałów spotkać można oryginalne aplikacje pomysłów myślicieli rozmaitej proweniencji (np. w rozdziale poświęconym animacjom z Wallace’em i Gromitem zastosowanie znajduje Bergsonowska koncepcja komizmu, natomiast swoistym „patronem teoretycznym” wywodów o markach *Nike* i *Swatch* jest Walter Benjamin). Generalnie należy stwierdzić, że książka Lasha i Lury posiada nie tylko bogate, ale również niezwykle różnorodne zaplecze teoretyczne.

Metodologia obrana przez badaczy zasadniczo opiera się na „podążaniu za przedmiotami”, polegającym na rejestrowaniu jak największej ilości perspektyw postrzegania owych przedmiotów, uwzględniania punktów widzenia różnych osób zdzywersyfikowanych czasowo i przestrzennie. W ten sposób powstać ma biografia przedmiotu (określenie to stanowi wyraz przekonania, że przedmioty „żyją własnym życiem” i w swoim funkcjonowaniu przypominają raczej żywe organizmy niż martwe objekty), czyli historia relacji w jakie uwikłany zostaje przedmiot i redefinicji

<sup>1</sup> S. Lash, C. Lury, *Globalny przemysł kulturowy. Medializacja rzeczy*, przeł. J. Marmurek i R. Mitoraj, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2011, s. 240.

jakim podlega w ramach przemian tychże relacji, a także wpływu jakie wywiera na ich kształt. Jak widać, metodologia Lasha i Lury dostosowana jest do rzeczywistości dynamicznej, zmiennej, tudzież — mówiąc językiem Zygmunta Baumana — płynnej, polega na postrzeganiu badanych obiektów nie jako gotowych tworców, lecz jako procesy. Prezentowana w książce perspektywa badawcza jest również — jak ujmują to one same — raczej obiektowa niż obiektywna — dzięki temu, że opiera się w głównej mierze na podążaniu za badanymi przedmiotami, jest do nich niejako „dopasowana”. Metodologia autorów — jak sami zresztą przyznają — wpisuje się również w paradygmat anty-antropocentryzmu, stojąc na stanowisku, że ludzki podmiot poznający nie dysponuje żadną uprzywilejowaną pozycją w stosunku do nie-ludzkiego przedmiotu poznawanego, natomiast ów przedmiot nie jest postrzegany jako bierny obiekt lecz jako aktor posiadający moc sprawczą.

Szczególnie istotnym elementem biografii przedmiotów kulturowych jest ich przeistaczanie się z mediów w rzeczy i na odwrót. Co prawda w podtytule książki mowa jest tylko o medializacji rzeczy, jednakowoż Lash i Lury wiele miejsca poświęcają również urzeczowieniu mediów. Procesy te odniesione zostają do Marksowskiego rozróżnienia na bazę i nadbudowę — Lash i Lury stwierdzają mianowicie, że urzeczowione media przebywają drogę z nadbudowy „w dół”, natomiast zmiediatyzowane rzeczy opuszczają bazę przesuając się „w górę”. Autorzy przekonują, że o ile kultura badana przez Adorna i Horkheimera zasadniczo mieściła się w nadbudowie, o tyle we współczesnym przemyśle kulturowym:

[...] przedmioty kultury są już wszędzie; jako informacje, procesy komunikacji, markowe produkty, usługi finansowe, spektakle medialne, usługi transportowe i rozrywkowe, realnie, materialnie istniejące przedmioty kultury nie są już wyjątkiem, ale regułą. Kultura jest tak wszechobecna, że wylewa się poza nadbudowę, by przenikać do bazy [...]. Kultura — czy to w odniesieniu do praktyk dominacji, czy oporu — nie działa już przede wszystkim jako nadbudowa.<sup>2</sup>

Wzmiankowane powyżej wędrówki pomiędzy bazą a nadbudową, polegające na medializacji rzeczy i reifikacji mediów zostają zegzemplifikowane poprzez biografie siedmiu przedmiotów: filmu *Trainspotting*, animacji o Wallace'ie i Gromicie, filmu animowanego *Toy Story*, sztuki konceptualnej w nurcie *Young British Art*, turnieju piłkarskiego *Euro'96*, a także marek *Nike* i *Swatch*. Cztery pierwsze przedmioty to media, które stały się rzeczami, tym samym „wylewając się z nadbudowy”, natomiast trzy ostatnie to rzeczy poddane medializacji, które wydostały się poza bazę. Oba procesy oznaczają, że w trakcie swojego życia dany przedmiot przekształca się, przyjmując zasadniczo odmienną od dotychczasowych postać; dajmy na to: *Toy Story* przestaje być tylko filmem (reprezentacją), stając się również zbiorem gadżetów, kolekcjonerskich figurek (rzeczą), a mecz piłkarski (rzecz) zostaje poddany —

[...] podwójnej medializacji: po pierwsze, przez *branding* i związki z takimi markami jak *Nike* czy *Adidas*, po drugie, przez docierające do szerokiej widowni, przede wszystkim za pośrednictwem płatnych telewizji, transmisje telewizyjne.<sup>3</sup>

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 15.

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 51.

Spśród omawianych w książce przedmiotów najciekawszą chyba biografie posiada *Trainspotting*, który był już do tej pory opowiadaniem, powieścią, sztuką teatralną, filmem, plakatem, czy wreszcie gadżetem w postaci przykrótkiego podkoszulka, jaki w filmie nosił Ewan McGregor.

Interesująco przedstawia się także dywersyfikacja perspektyw, z których śledzona jest biografia przedmiotów. Podążanie za *Euro'96* objęło m.in. opis działań podmiotów kupujących i sprzedających rozmaite prawa dotyczące turnieju (m.in. sponsorów i podmioty konkurujące o prawo do reklamy), charakterystykę zabiegów *brandingowych* (np. wybór piosenek turniejowych), czy opowieść o *Euro* widzianym z pozycji prasy sportowej. Autorzy kreują w ten sposób bogaty obraz przedmiotu, który, wikłając się w rozmaite relacje, staje się medium. Warto zaznaczyć, że przedstawiane w książce perspektywy składające się na biografie przedmiotów nie ograniczają się do eurocentrycznych punktów widzenia. Jeden z rozdziałów w całości poświęcony jest brazylijskiemu przemysłowi medialnemu, gdzie podejmowane są nie tylko analizy losów *Trainspotting* i Wallace'a i Gromita, ale również omawia się specyfikę południowoamerykańskiego rynku mediów. Co ciekawe, jednym z punktów widzenia uwzględnianych przez Lasha i Lury jest perspektywa obiektywu — stąd zdjęcia pojawiające się w książce, nie mają być tylko ilustracjami, lecz „niewerbalnym, niedyskursywnym świadectwem”<sup>4</sup>. Warto zwrócić uwagę również na samą formę książki, w ramach której pojawiają się nie tylko wspomniane ilustracje, ale również swoiste kolaże narracyjne. Rozdział poświęcony *Young British Art* składa się zasadniczo z dwóch przeplatających się ze sobą opowieści (jedna z nich dotyczy estetycznych założeń konceptualizmu, druga instytucjonalnego aspektu sztuki w Londynie), które zaprezentowano za pomocą odmiennych czcionek, dzieląc pomiędzy nie przestrzeń niemal każdej strony, w taki sposób, by owe narracje tworzyły określone kształty, tym, samym stanowiąc dodatkowe ilustracje i komunikaty. Autorzy przekonują, że chcieli w ten sposób oddać dynamikę i kontekstualność omawianych zjawisk nie tylko poprzez treść, ale również poprzez *layout* książki.

Treść tej ostatniej nie ogranicza się jednak do opisów procesów medializacji i reifikacji. W gruncie rzeczy każdy z rozdziałów poświęconych wymienionym wyżej siedmiu przedmiotom potraktować można jako samodzielną całość. Choćby rozdział dotyczący marki *Nike* jawi się jako interesująca opowieść o mechanizmach rządzących rynkiem kapitalistycznym i warunkujących agresywną konkurencję, której skutkiem jest m.in. wyzysk taniej siły roboczej z krajów azjatyckich. Ponadto w poszczególnych rozdziałach powracają pewne wątki, poboczne co prawda w stosunku do zasadniczej tezy książki, ale niezwykle interesujące same w sobie, jak np. komercjalizacja i prywatyzacja dóbr publicznych, o której mowa jest m.in. w kontekście *Euro'96* i *YBA*. Wobec powyższych uwag warto napomknąć, że autorki zwracają uwagę, iż w ramach funkcjonowania globalnego przemysłu kulturowego mamy do czynienia z „władzą globalnego, imperialnego kapitalizmu”, który nazywają „kapitalizmem wirtualnym”<sup>5</sup> — w tym sensie w książce roztacza się pewnego rodzaju duch

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 37.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 241.

krytyki kapitalizmu, choć w formie bezpośredniej jest ona wyrażana nad wyraz powściągliwie i sporadycznie. Należy również zwrócić uwagę na twórcze wykorzystanie rozmaitych koncepcji filozoficznych i filozoficznych, a także na krytyczne uwagi i znaki zapytania wysunięte pod adresem niektórych z nich. Książka czerpie z rozmaitych źródeł, jednak owo czerpanie nie jest pustym popisem erudycyjnym i za każdym razem niesie ze sobą określoną wartość poznawczą.

Uskuteczniane przez Lasha i Lury podążanie za przedmiotami i śledzenie ich biografii w rzeczy samej rozumieć można jako ambitną pogoń za rzeczywistością. Współczesna rzeczywistość społeczno-kulturowa jest bowiem — o czym przekonuje nie tylko omawiana tu książka, ale również zdecydowana większość literatury naukowej, nie wspominając o potocznych obserwacjach — niezwykle dynamiczna i płynna, a tym samym zdaje się nieustannie wymykać naukowej refleksji, uciekać przed aparatami pojęciowymi próbującymi ją uchwycić. Lash i Lury podejmują trud dotrzymania kroku rzeczywistości i wydaje się, iż udaje im się zrealizować ten cel. Idzie tu nie tylko o to, iż zdołali pochwycić w ramy teoretyczne siedem przedmiotów kulturowych, o których traktuje książka. Najważniejszym osiągnięciem zrealizowanym w omawianej tu pozycji lekturowej jest to, iż nakreślone w niej ramy teoretyczne mogą zostać odniesione również do zjawisk w książce nieopisanych, służyć jako swoisty wehikuł pozwalający nadganiać wciąż bardziej rozpędzającą się rzeczywistość. Relacyjna, dynamiczna „ontologia”, traktowanie przedmiotów jako czynnych aktorów, śledzenie biografii — wszystkie te elementy wydają się cennymi narzędziami badawczymi pozwalającymi na podreperowanie nierzadko zakleszczonych w substancjalnym i podmiotowo-przedmiotowym myśleniu nauk społecznych. Lash i Lury nie są oczywiście pierwszymi, ani jedynymi, którzy zdecydowali się popędzić za umykającą rzeczywistością, zamiast zmęczonym wzrokiem wyglądać jej z pachnącego pozytywistycznym kurzem fotela, niemniej jednak nie zmienia to faktu, że wyniki ich pościgu wydają się nad wyraz obiecujące.

Wydaje się jednak, iż to, co stanowi o niewątpliwych zaletach książki wiąże się również z jej (mniej niewątpliwymi, ale jednak) wadami. Otóż podążanie za przedmiotami z pewnością pozwala dokładnie opisać ścieżki, jakimi owe przedmioty się poruszają, wskazać na relacje w jakie się wikłają, przekształcenia jakim podlegają i wpływy jakie wywierają. Od Lasha i Lury dowiadujemy się zatem jakimi ścieżkami podążają *Toy Story* czy *Trainspotting*, natomiast nie dowiadujemy się w jaką całość układają się owe ścieżki, jaką sieć relacji tworzą, jak przedstawiają się jako całościowa struktura, którą autorzy nazywają globalnym przemysłem kulturowym. Lash i Lury, poza opisaniem procesów medializacji i reifikacji jako przesunięć pomiędzy bazą i nadbudową, nie pokusili się o nakreślenie całościowej struktury, jaką miałyby być globalny przemysł kulturowy. Wiemy, jakimi drogami podążają przedmioty, ale nie wiemy dlaczego tak się dzieje, nie otrzymujemy bowiem obrazu struktury, która je warunkuje (i którą jednocześnie współtworzą). Ktoś życzliwy mógłby powiedzieć, iż Lash i Lury dostarczają materiału, z którego czytelnik sam może sobie ową całość wydedukować na własną rękę. Nie zmienia to jednak faktu, że gdyby autorzy przedstawili swoje ujęcie tej całości, to czytelniczka nadal mogłaby wydedukować własną wizję, co więcej, mogłaby porównać ją z propozycją autorów.

Wydaje się, iż — luźno odwołując się do znanego rozróżnienia autorstwa Norberta Eliasa<sup>6</sup> — można stwierdzić, że autorzy zbyt mocno skupiają się na zaangażowaniu, jednocześnie zapominając o zachowaniu dystansu. W tym sensie wydaje się oczywiście niezwykle pożytecznym zaangażowanie w podążanie za przedmiotami, śledzenie ich i odnotowywanie ścieżek. Niemniej jednak, wydaje się, iż po zakończeniu pościgu warto byłoby — mimo wszystko — usiąść w (niekoniecznie nasiąkniętym pozytywistycznym kurzem) fotelu i z pozycji neutralnego obserwatora spojrzeć na przebyte ścieżki, poszukując w nich określonego porządku, próbując stworzyć mapę struktury. Książka nie proponuje takowej mapy i w ten sposób zdaje się wpisywać w często spotykaną we współczesnych naukach społecznych niechęć do opisywania całości. Niewielu badaczy podejmuje wysiłek taki jak np. Pierre Bourdieu, polegający na tym, by nie tylko zbudować metodologię i podług niej realizować badania empiryczne, ale również wyprowadzić z nich pewną wizję całości. Niestety wydaje się, że Lash i Lury również nie podjęli tego wyzwania — stworzyli interesującą metodologię, wykorzystali ją w jeszcze bardziej interesujących badaniach empirycznych, nie próbowali jednak uogólnić wyników, nie pokusili się o naświetlenie globalnego przemysłu kulturowego jako funkcjonującej w swoisty sposób struktury, jako systemu działającego według mniej lub bardziej określonych reguł regułami.

Chcemy wiedzieć czym jest i jak działa globalny przemysł kulturowy, tak samo jak chcemy (a przynajmniej powinniśmy chcieć) wiedzieć czym jest i jak działa kapitalizm. Nie tylko dlatego, że dzięki temu możemy zrozumieć, jak owe struktury warunkują nasze myślenie i działanie, ale również dlatego, że owe struktury mogą sprawiać rozmaite problemy, których rozwiązanie zależeć będzie od tego, czy świadomi będziemy jak dana struktura funkcjonuje jako całość. Niedawny kryzys ekonomiczny pokazał, że (zaangażowana) wiedza dotycząca tego, jak interweniować w system, powinna iść w parze z (neutralną) wiedzą dotyczącą funkcjonowania systemu jako całości<sup>7</sup>. Wiedza ekonomiczna, która nie jest zainteresowana kapitalizmem jako całością i koncentruje się wyłącznie na sposobie osiągnięcia zysku, na podsuwaniu skutecznych działań w ramach rynku, prowadzić może właśnie do kryzysów. Innymi słowy, konsekwencją wprowadzania zmian w systemie, bez wiedzy o tym, jak ów system funkcjonuje, może być pojawienie się mniejszych lub większych problemów w owym funkcjonowaniu. Stąd, mimo iż jest kwestią niewątpliwie interesującą to, jakimi ścieżkami podążało *Trainspotting* — wiedza ta posłużyć może nawet jako pomocna wskazówka wypromowania filmu w globalnym przemyśle kulturowym — niemniej jednak, jeśli globalny przemysł kulturowy przestanie funkcjonować prawidłowo, wiedza dotycząca poszczególnych przedmiotów okaże się bezużyteczna, zabraknie wiedzy o globalnym przemyśle kulturowym jako całości. Książka Lasha i Lury zdaje się być w pewnym stopniu naznaczona tego rodzaju brakiem. Nie idzie tu oczywiście o fakt, że autorzy nie proponują „teorii wszystkiego”, czy nie prezentują tego, co postmoderniści nazywają meta-narracjami. Niemniej

<sup>6</sup> N. Elias, *Zaangażowanie i neutralność*, przeł. J. Stawiński, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2003.

<sup>7</sup> A. Pałubicka, *Wiedza i nauka ekonomiczna i światowy kryzys finansowy. Filozoficzne spojrzenie na kryzys*, „Filo-Sofija”, 2008, 1(8), s. 97-104.



wyduje się, iż zadaniem nauk społecznych jest nie tylko opisywanie poszczególnych przypadków danych zjawisk, lecz również dokonywanie uogólnień i wskazywanie prawidłowości.

Mówiąc o zarzutach, jakie można wystosować w stosunku do książki, warto wspomnieć o być może dość detalicznym, ale jednak drażniącym braku. Brak ten polega na niewyjaśnieniu, co zdaniem autorek kryje się za — odmienianym w książce przez różne przypadki — słowem „kultura”. Autorki nie wprowadzają własnej definicji, nie wiadomo, czy rozumieją kulturę po Marksowsku, czy bliżej im do ujęcia Adorna i Horkheimera. W związku z tym trudno orzec, jaki właściwie jest zakres globalnego przemysłu kulturowego i czym różni się on od przemysłu nie-kulturowego, gdzie przebiega granica pomiędzy nimi. W efekcie większość twierdzeń, w ramach których mówi się o kulturze, jawi się jako nie do końca jasna, np. nie wiadomo jak rozumieć tezę głoszącą, że kultura nie jest już systemem reprezentacji, lecz systemem przedmiotów, ponieważ nie jest jasnym, czym właściwie jest kultura jako taka. Nie jest to oczywiście niedostatek dewaluujący zalety książki, niemniej niewątpliwie stałaby się ona klarowniejsza, gdyby główne pojęcia w niej stosowane były zdefiniowane lub dookreślone.

Podsumowując, *Globalny przemysł kulturowy* jest książką ambitnie pomyślaną i rzetelnie napisaną. Łączy w całość szeroko zakrojone i zróżnicowane badania empiryczne z wysublimowanym, dostosowanym do owych badań, aparatem teoretycznym. Tym samym książka zdaje się w znajdować złoty środek pomiędzy budowaniem abstrakcyjnych i niemożliwych do zastosowania aparatów konceptualnych a prezentowaniem „bezbronnych” danych empirycznych, z którymi to praktykami nierzadko można spotkać się podczas kontaktów ze współczesną literaturą z zakresu nauk społecznych. W efekcie, Lashowi i Lury udało się nie tylko opisać rzeczywistość, ale również ją zrozumieć, co — wbrew pozorom — nie jest bynajmniej powszechną cechą publikacji pojawiających się na półkach z literaturą naukową. Książka nie oferuje całościowej wizji struktury jaką jest globalny przemysł kulturowy, jednak z pewnością pozostaje pracą wartościową.

*Maciej Musiał*

Frederic Martel, *Mainstream. Co podoba się wszędzie na świecie*, przeł. K. Sikorska, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2011, 492 ss.

Frederic Martel jest francuskim socjologiem znanym głównie z książki zatytułowanej *Polityka kulturalna Stanów Zjednoczonych* (Wydawnictwo Akademickie DIALOG, Warszawa 2010). W swojej najnowszej pracy autor ten podejmuje zagadnienie mainstreamu, który określa jako to, co „dominujące” i „dla szerokiego ogółu” (s. 20). Francuz przywołuje tezę Josepha Nye’a, który twierdzi, że współcześnie społeczeństwa

używają „nie tylko swojej siły militarnej, ekonomicznej i przemysłowej (*hard power*), lecz także kultury” (s. 12). *Mainstream* miałyby być właśnie wyrazem takowej *soft power*, która opiera się nie tyle na przymusie, co raczej na uwodzeniu. Martel koncentruje się głównie na analizie tego, w jaki sposób pewne treści kulturalne stają się *mainstreamowe*, czyli dominujące i powszechne, innymi słowy: dlaczego „podobają się wszędzie na świecie”. Francuz stara się osiągnąć ten cel porównując ekspansywność treści kulturalnych produkowanymi w Stanach Zjednoczonych z treściami wytwarzanymi np. przez społeczeństwa arabskie czy europejskie, które nie zyskują tak szerokiej popularności. Z drugiej strony, Martela interesuje kwestia „odporności” na *mainstream* — autor zastanawia się, dlaczego pewne społeczeństwa przyjmują dominujące treści kulturalne z całym dobrodziejstwem inwentarza, natomiast inne zbiorowości nie są tak gorliwe w asymilowaniu tego co „podoba się wszędzie na świecie”.

Powyższe uwagi pozwalają domyślać się szerokiego zakresu, jaki obejmują zreferowane w książce badania. W rzeczy samej, spectrum stanowiące przedmiot zainteresowania Martela przedstawia się imponująco. Francuski badacz badał treści kulturalne w 30 krajach znajdujących się na pięciu kontynentach. Rozmawiał z ponad 1250 przedstawicielami przemysłów kulturalnych w 150 miastach. Jeśli idzie o wzmiankowane przemysły kulturalne, to również na tej płaszczyźnie spectrum zainteresowań Martela jest szerokie: Francuz poddał badaniom przemysł filmowy, muzyczny, telewizyjny, a nawet przemysł produkujący gry komputerowe.

Punktem wyjścia jest dla Martela analiza przemysłu kulturalnego w Stanach Zjednoczonych. Pierwszą zmianą, jaka zaszła w społeczeństwie amerykańskim jest zatarcie granicy pomiędzy kulturą wysoką (elitarną) a kulturą niską (masową). Idzie tu głównie o to, że kultura wysoka przestała jawić się jako jakościowo odmienna od kultury niskiej. W pewnym sensie doszło wręcz do swoistego odwrócenia: o jakości danych treści kulturalnych przestały zaświadczać ich walory artystyczne czy estetyczne. Jedynym powszechnie przyjmowanym przez społeczeństwo amerykańskie sposobem wartościowania jakości jest ilość. To popularność, wyniki sprzedaży jawią się jako jedyny „obiektywny” miernik jakości. Tym samym jakość zaczęto mierzyć i utożsamiać z ilością, a masowość stała się pożądana.

Martel cytuje przedstawiciela jednego z liderów branży filmowej w USA, który wypowiada się w sposób następujący:

To jest przemysł i nie można zrozumieć Hollywood, jeśli nie potrafi się ocenić skali, o jakiej mówimy. To nie jest rzemiosło. Wy, Francuzi, jesteście rzemieślnikami. Chcecie odnieść sukces w świecie, ale gracie bez ambicji. Jesteście nieufni wobec studiów, wobec pieniędzy, wobec publiczności, ze strachu, że skompromituje waszą sztukę. Uważacie, że sukces jest podejrzany, i wątpicie w szczerłość publiczności. My kochamy publiczność do szaleństwa, kochamy ją do tego stopnia, że chcemy uwieść ją masowo, gdziekolwiek się znajduje, wszędzie na świecie. To właśnie jest kino. (s. 88)

Zacytowany powyżej decydent kończy swoją wypowiedź sugestywnym odniesieniem do znanej formuły Samuela Goldwyna, który stwierdził, że nie bez powodu funkcjonuje nazwa *show-business*, a nie *show-art* (s. 88).

Amerykanie nastawieni są zatem na „masowe uwodzenie”, czyli na osiągnięcie jak największej sprzedaży pomocą treści kulturalnych. Naczelną wartością jest bo-

wiem wysoka sprzedawalność produktu: „cały film od początku budowany jest stosownie do rynków międzynarodowych, w które celujemy. Wszędzie na świecie nasze produkty mają być pożądane, a to pożądanie się przygotowuje, to zawód” (s. 88). Amerykańskie treści kulturalne są zatem w znacznej mierze tworzone nie po to, by do czegoś przekonywać, by za czymś argumentować, lecz by budzić pożądanie, uwodzić. Dzieło, czy może raczej produkt, nie jest kreowane jako zawierające istotną czy interesującą treść, nad którą odbiorca mógłby reflektować, lecz raczej jako zwornik i stymulator przeżyć, które mają odbiorcę uwieść. Odbiorca z kolei nie jest traktowany jako reflektujący obserwator, lecz raczej jako uczestnik konsumpcji przeżyć. Dominującym elementem strategii marketingowych nie jest natomiast argumentacja, przekonywanie o wysokiej jakości danego produktu, lecz powtarzanie. Martel pisze, że kluczowym elementem promocji produktu jest moment nazywany *drive* (od *cattle drive* — spędu bydła), który polega „na powtarzaniu tytułu filmu i nazwisk grających w nim aktorów wszelkimi możliwymi sposobami, na wszystkich nośnikach i na kilku kontynentach jednocześnie podczas dwóch ostatnich tygodni poprzedzających jego premierę, by zachęcić do niego publiczność” (s. 100). Zatem, zamiast argumentować w imię jakichś wartości i pobudzać do refleksji amerykańskie treści kulturowe mają uwodzić za pomocą maksymalnej ilości powtórzeń.

Zauważmy, że zarysowane podejście implikuje coś, co zostało już co prawda zasygnalizowane, niemniej zdaje się zasługiwać na szersze wspomnienie. Otóż, jak stwierdza Martel, Amerykanie nie są bynajmniej nastawieni na promowanie określonych wartości, w tym wartości „amerykańskich” (zdaniem Martela, lecz również przedstawicieli przemysłu muzycznego szalenie popularne w Stanach *country* i *Christian music* nie są chodliwym towarem eksportowym i nie „podobają się wszędzie na świecie”, właśnie dlatego, że są „zbyt amerykańskie”). Skoro bowiem to wielkość sprzedaży, mainstreamowość, potencjał uwodzenia są tym, co w danym produkcie kulturalnym najbardziej istotne, to w konsekwencji prezentowane w nim wartości są jedynie dodatkiem do jego mocy uwodzącej:

Priorytetem dla studiów i wielkich wytwórni nie jest więc jedynie narzucanie swojego kina i muzyki ani obrona kulturalnego imperializmu. Zależy im na pomnażaniu i zwiększaniu swoich rynków [...]. Jeśli mogą to robić za pomocą produktów „amerykańskich” — tym lepiej; jeśli nie, sięgają po produkty „uniwersalne”, sformatowane tak, by podobały się wszystkim na całym świecie, i nie mają żadnych skrupułów, by łagodzić [...] ich amerykańskość. (s. 444)

Konsekwencją nastawienia raczej na masowe uwodzenie niż na promowanie własnych wartości jest niebywała otwartość Ameryki na wszystko co inne, odmienne — potencjalnie, uwodzące, mainstreamowe i *cool*. Amerykanie są otwarci na wszelkie treści i wartości oraz są gotowi je promować, jeśli tylko mogą one „podać się wszędzie na świecie” i w efekcie przynieść wysoki zysk. Tym samym Amerykanie wchłaniają i promują wszystko, co może okazać się mainstreamowe. W efekcie USA stały się zasadniczo ważniejszym twórcą i promotorem muzyki *latino* niż Ameryka Południowa (za stolicę muzyki *latino* — a często również za „stolicę kulturalną Ameryki Południowej” — uznaje się Miami, co jawi się jako frapujące nawet wobec wzięcia pod uwagę znacznej liczby latynoskich imigrantów zamieszkujących w tym

mieście). Ponadto, firmy takie jak Sony (której właścicielami są Japończycy), czy Ubisoft (francuska firma produkująca gry komputerowe) pozostawiają większość decyzji dotyczących zarówno strony artystycznej jak i finansowej swoim oddziałom amerykańskim. Nie ma znaczenia, że Sony jest firmą japońską, a Ubisoft francuską, ważne jest to, że to Amerykanie potrafią uczynić produkty (dzieła) kulturalne mainstreamowymi. O tym, dlaczego nie potrafią tego inne społeczeństwa, mową będzie w dalszym toku wywodu.

Tymczasem, warto wspomnieć jeszcze o symptomatycznej w kontekście zarysowanych powyżej procesów zmianie roli krytyka w USA. Martel przekonuje, że amerykański krytyk nie jest już kimś, kto niejako *ex cathedra* odsiewa ziarna od plew wskazując na jakość i wartość poszczególnych dzieł. Współczesny krytyk ucieka od ferowania „subiektywnych” wyroków dotyczących jakości, a skupia się raczej na zdiagnozowaniu „mocy uwodzącej” — kryterium jakościowe zostaje zatem zastąpione przez ilościowe (w gruncie rzeczy jedynymi ocenami jawiącymi się jako wiarygodne są nie opinie krytyków lecz wyniki sprzedaży). Jeśli krytyk odnosi się do jakości dzieła, to czyni to poprzez wskazanie na przyjemność lub jej brak w wyniku kontaktu z owym dziełem. Zamiast o jakości wypowiada się o popularności. Zamiast mówić o tym, czy dzieło jest wartościowe, stwierdza, czy jest przyjemne w odbiorze. Generalnie, „preferowane jest dostarczanie raczej informacji niż ocen” (s. 183). Krytyk odróżnia nie kulturę niską od wysokiej, lecz to co się podoba, o tego, co się nie podoba: „jeśli istnieje wciąż jakaś hierarchia kulturalna, nie prowadzi już ona od kultury popularnej do elitarnej, lecz od tego, co najbardziej *hot* (gorące) po najbardziej *square* (niefajne, odwrotność *cool*)” (s. 174).

Spółczesność amerykańska zatarła, zdaniem Martela, granicę pomiędzy kulturą niską a wysoką, tym samym sprawiając, że do wytwarzanych w USA treści kulturalnych coraz rzadziej stosuje się określenie sztuka, a coraz częściej nazwa *entertainment* (rozrywka). Amerykanie zdecydowali się zrezygnować z promowania określonych wartości w swoich wytworach kulturalnych, a zamiast tego postanowili uczynić je maksymalnie uwodzającymi, wzbudzającymi pozytywne przeżycia u jak najszerszej grupy odbiorców — podobającymi się wszędzie na świecie, czyli mainstreamowymi.

Niemniej, jak wspomniano wcześniej, Martel nie zajmuje się tylko społeczeństwem amerykańskim. Francuski badacz analizuje również sytuację treści kulturalnych w Japonii, Chinach, Indiach, krajach arabskich, Afryce, Ameryce Południowej i wreszcie w Europie. Z jednej strony Martel rozważa „odporność” społeczeństw zamieszkujących wyżej wymienione kraje i kontynenty, z drugiej — rozważa potencjał tych społeczeństw w zakresie wytwarzania „podobających się wszędzie na świecie” mainstreamowych treści kulturalnych.

Jeśli idzie o odporność, to — jak łatwo się domyślić — okazuje się ona z różnych względów stosunkowo niska. W przypadku Ameryki Południowej czy Europy, popyt na produkty amerykańskie zwykle jest większy niż na produkty rodzime. W wielu krajach europejskich i większości południowoamerykańskich filmy *made in USA* mają wyższą oglądalność niż produkcje krajowe, podobnie wygląda sytuacja na rynku muzycznym. Zarówno w przypadku Ameryki Południowej, jak i Europy

Martel wskazuje na podziały pomiędzy poszczególnymi krajami tych kontynentów. Idzie tu nie tyle o wrogość czy niechęć, co raczej o obojętność i brak współpracy. Z jednej strony, Europejczycy i mieszkańcy Ameryki Południowej nie mają wspólnych wartości (lub nie mają świadomości wspólnych wartości), z drugiej strony nie potrafią wspólnie prowadzić interesów — Martel podkreśla, że wielkim korporacjom z USA, mogą przeciwstawić się tylko równie wielkie mołochy, których jednak, ani Europejczycy, ani mieszkańcy Ameryki Południowej nie potrafią wspólnie zbudować. Dodatkowym problemem Europejczyków jest fakt, że wciąż są oni przywiązani do podziału na sztukę wysoką i niską, i podejrzliwi wobec tego, co masowe i komercyjnie skuteczne. Europejczycy zdaniem Martela wciąż zbyt mocno starają się kultywować tradycję sztuki elitarnej i nie są chętni poszukiwaniu tego, co *trendy* oraz *cool*. Europejczycy chcieliby pozostać artystami tworzącymi sztukę, a nie producentami „entertainmentu”, co — jak zaznaczono w jednym z przytaczanych cytatów — zdaje się skazywać Europę na rolę rzemieślnika nie mogącego konkurować z wielkimi producentami.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w przypadku Chin, które niejako regulują wpływy amerykańskich treści kulturalnych poprzez wprowadzanie limitów na filmy czy muzykę produkcji amerykańskiej. Owe ograniczenia, a także rozmaite „nieczyste zagrywki” (Martel opisuje sytuację, w której Chińczycy zezwolili Amerykanom na budowę nowoczesnych kompleksów kinowych, a następnie wprowadzili w życie prawa, na mocy których kontrolę nad owymi kompleksami przejął chiński rząd) skutecznie zablokowały amerykańskie plany wejścia na chiński rynek. Amerykanie zrezygnowali z próby podbicia tego — skądinąd największego na świecie — rynku i przenieśli się na — następny w kolejce, jeśli idzie o wielkość — rynek indyjski. Chiński rząd skutecznie zablokował amerykańskie wpływy (choć tylko na pewnym poziomie, o czym za chwilę), jednocześnie ucząc się od Amerykanów tego, jak robić *mainstream* i podobać się wszędzie na świecie. Chińczycy wykorzystują amerykańskie formaty (wzory i schematy np. programów telewizyjnych, dajmy na to — *reality shows*), często z naruszeniem praw autorskich (Martel przekonuje, że w Chinach naruszanie praw autorskich jest czymś powszechnym) i starają się wejść na rynek afrykański, a także współpracować z krajami takimi, jak Rosja czy Wenezuela. Zdaniem Martela Chiny mają *mainstreamowe* ambicje i powoli starają się je realizować, jednakowoż — póki co — niewiele z tego wynika, ponieważ nie odnoszą żadnych znaczących sukcesów.

Również Indie stawiają opór amerykańskim treściom kulturalnym, jednak nie odbywa się to w sposób sztuczny, jak w przypadku limitów w prowadzonych przez rząd chiński, lecz naturalnie: poprzez przywiązanie do własnych wartości. Indusi najzwyczajniej w świecie zdają się lubić swoją kulturę i wprost opowiadają się za swoją tradycją, folklorem i związanymi z nimi wartościami. W efekcie Amerykanie zmuszeni są lokalizować swoje produkty, co oznacza, że przerabiają swoje filmy czy muzykę dostosowując je do gustu Indusów, lub po prostu produkują filmy w Indiach z indyjskimi aktorami i na podstawie indyjskich scenariuszy. W efekcie Indusi uczą się od Amerykanów tworzenia treści „uniwersalnie uwodzących” i starają się połączyć *mainstreamowość made in USA* z indyjskim światopoglądem, i tym połączy-

niem zawojować świat dzięki swoim produkcjom, głównie filmom bollywoodzkim. Niemniej, Martel wskazuje na pewne napięcie związane z tym połączeniem — jego zdaniem Indie stoją na rozdrożu, niepewne, którą drogą podążać: stawać się bardziej amerykańscy i mainstreamowi, czy raczej bardziej tradycyjni i lokalni.

Z podobnym napięciem co Indie zmagają się kraje arabskie, które również mają mainstreamowe zakusy. Przykładem jest stacja telewizyjna Al-Jazeera należąca do grupy medialnej Rotana, która stawia sobie jasne cele: najpierw kraje arabskie, potem kraje muzułmańskie, na koniec świat. Jednak, Arabowie silnie przywiązani są do swoich wartości, nie mogą ich podważać, jeśli chcą podobać się innym Arabom i muzułmanom, ale z drugiej strony, jeśli pozostaną im wierni, najpewniej nie będą „podać się wszędzie na świecie”. Z oczywistych względów społeczeństwa arabskie zdają się być „odporne” na ekspansję amerykańskich treści kulturowych, niemniej idzie tu tylko o oficjalny obieg. W krajach arabskich, podobnie jak w Indiach i Chinach, produkty amerykańskie mają co prawda niską sprzedawalność lub nie są obecne w oficjalnym obiegu, lecz jednocześnie masowo funkcjonują na rynku pirackim. Martel ze zdumieniem konstatuje, że pirackie sklepy w biednych indyjskich miasteczkach czy ukryte na skromnych arabskich bazarach nie są zaopatrzone gorzej niż sklepy zachodnie, łącznie z tym, że amerykańskie hity kinowe obecne są tam kilka dni po premierze kinowej.

Martel przedstawia również procesy zachodzące na afrykańskim rynku treści kulturalnych. Jest on zdominowany przez produkcje amerykańskie, głównie za sprawą niezwykle mocno rozpowszechnionego piractwa. Afrykanie produkują co prawda np. własne filmy, głównie w RPA i Nigerii (przemysł filmowy w tym ostatnim kraju nazwano Nollywood) niemniej zdecydowanie największą popularnością cieszą się filmy amerykańskie. Na rynku muzycznym trwa natomiast znacząca zmiana. O ile dotychczas drogą do międzynarodowej, ogólnofrykańskiej sławy były dla afrykańskich muzyków Paryż (dla krajów francuskojęzycznych) i Londyn (dla krajów angielskojęzycznych) — oba miasta jawiły się jako kulturalne stolice Afryki (podobnie jak w przypadku Miami i muzyki latynoskiej). Martel ilustruje rolę Europy używając sugestywnego obrazu: przez długi czas podróżowanie samolotem pomiędzy stolicami afrykańskich państw wymagało lotu do Europy, ponieważ bezpośrednie połączenia lotnicze nie istniały. Jednak znaczenie Europy w Afryce zaczyna maleć. Z jednej strony dzieje się tak dlatego, że Afrykańczycy zaczynają radzić sobie własnymi siłami (budują studia nagrań, inwestują w marketing, tworzą festiwale). Z drugiej strony coraz większe wpływy w Afryce mają Chiny i Brazylia, które właśnie na Czarnym Łądzie starają się zacząć ekspansję swoich treści kulturalnych. Martel stwierdza, że tradycyjny wpływ Północy na Południe zaczyna być zastępowany wymianami Południe — Południe.

Diagnozy Martela jawią się jako ważne i interesujące. Dzięki detalicznym, a zarazem zakrojonym na światową skalę badaniom, autor dostarcza obrazu skomplikowanych procesów jakie dokonują się w ramach przemysłu kulturalnego. Opisuje strategię niekwestionowanego lidera, czyli USA, a także sytuację w krajach (w mniejszym lub większym stopniu) dotychczas zdominowanych i ich ewentualne próby konkurowania z Amerykanami. Książka francuskiego badacza charakteryzuje się

przede wszystkim niezwykłym bogactwem danych empirycznych, niemniej wydaje się, iż autor mógłby pokusić się o wydobywanie większej ilości wniosków o charakterze uogólnień teoretycznych. Wszelako można odnaleźć w refleksjach Martela pewne spostrzeżenia, które jawią się jako istotne i trafne nie tylko jako diagnozy dotyczące przemysłów kulturalnych, ale również jako ważne w kontekście współczesnych przemian kulturowych. Zastąpienie kryterium jakościowego przez ilościowe, zatarcie granicy między sztuką niską a wysoką, zmiana roli krytyka, a także przejście od argumentacji do uwodzenia, od refleksji do przeżywania, od obserwacji do uczestnictwa, wydaje się zmianą fundamentalną, szczególnie dla kultury europejskiej, która swoją pozycję zawdzięcza (a może raczej — zawdzięczała) w znacznej mierze właśnie wysokiemu waloryzowaniu i kultywowaniu postawy bezinteresownej obserwacji.

*Maciej Musiał*